

KAMENIA

LUBLIN

15.X.1958

Nr 19 (161)

ROK XXV

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK LITERACKI

DNI LUBLINA 1958

BOLESŁAW RESCH

Zeszłoroczne „Dni Kultury Lublina” uzyskały w części tak zwanej opinii publicznej, którą te sprawy trochę interesują, ocenę prawie niedostateczną. No, powiedzmy, w najlepszym wypadku trójkę z minusem. Niewypał — impreza chybiała, a więc nie warto tego rodzaju przedsięwzięć podejmować. Bo to szkoda czasu, wysiłku (niewielkiej zresztą grupy ludzi) i pieniędzy (zresztą też stosunkowo niewielkiej kwoty)..

Wbrew takim opiniom zdecydowano zorganizować w roku 1958 „Dni Lublina”, już nie tylko jako wyłącznie Dni Kultury, lecz ze znacznym udziałem zagadnień gospodarczych. Ale już w okresie przygotowań zarysowała się wyraźnie w programie znaczna przewaga kultury. Jest to chyba zjawisko prawidłowe i pozytywne. Mimo to jednak że „Dni Lublina” 1958 r. oparto na odmiennych i szerszych założeniach niż w roku ubiegłym i bez zeszłorocznych błędów uchwała Prezydium Miejskiej Rady Narodowej o organizacji Dni Lublina wywołała u niektórych osób zastrzeżenia, wyrażone w pytaniach:

„Jaką korzyść z tego będzie miał Lublin i jego mieszkańcy?”

Otóż wydaje mi się, że sam moment rozruszania naszego w wielu wypadkach raczej „niedźwiedziego” niż „koziego” grodu wart jest zachodu, a jeśli przyjmemy z pewną dozą optymizmu, że coś z tego ruchu pozostanie na dalsze dni powszednie, to na pewno jest to przedsięwzięcie korzystne dla miasta i jego mieszkańców.

Mnie w szczególności interesuje i obchodzi zagadnienie rozruszania spraw kultury. W tej dziedzinie, mimo, przynajmniej trzeba, zwiększenia zainteresowania ogólnego i zwiększenia kręgu ludzi interesujących się, niewiele dotychczas zrobiono. Sporo mądrych pomysłów i realnych inicjatyw nie może doczekać się wejścia w stadium realizacji. Budowa sali widowiskowej, przekaznika telewizyjnego i dużo innych równie ważnych zamierzeń urosło do rangi symbolów... bezruchu. Sądzę, że brak pewnych projektowanych urządzeń właśnie w Dniach Lublina da się dość boleśnie odczuć i to chyba pomoże ruszyć te sprawy z martwego punktu. Byłaby to już korzyść niewątpliwa.

Ożywienie i zaktywizowanie środowisk twórczych, obudzenie i właściwy rozwój ruchu świetlicowo-klubowego w zakładach pracy, osiedlach i dzielnicach, sprawy kultury młodzieży — to na pewno też zagadnienia wymagające rozruszania.

Jestem przekonany, że impreza typu „Dni Lublina”, przyjęta nie tylko jako bardziej lub mniej udany fajerwerk, lecz przede wszystkim jako moment rozruszenia szeregu stężytych i zastępych spraw — jest imprezą korzystną i potrzebną.

Tegoroczne „Dni Lublina” chcemy potraktować jako pewnego rodzaju generalną próbę przed przyszłorocznymi uroczystościami XV-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Prawdopodobnie miejsce centralnych uroczystości

(Dokończenie na str. 2)



Z przeszłości KPP w Lublinie

STANISŁAW KRZYKAŁA

Dojście Hitlera do władzy stało się zarazem groźbą dla niepodległości Polski. Zawierała się ona niedwuznacznie w wypowiedziach kanclerza Rzeszy, stwierdzających zaraz po jego wyborze na to stanowisko, że „traktat wersalski jest nieszczęściem nie tylko dla Niemiec” oraz że „korytarz pomorski — haniebna niesprawiedliwość — musi być zwrócony Niemcom”.

To niebezpieczeństwo dostrzegła Komunistyczna Partia Polski, o czym świadczą następujące słowa zawarte w jednej z jej odezw: „Groźba najazdu Hitlera sprawia, że walka o obalenie systemu sanacyjnego, o demokratyczne wybory, o rządy zaufania mas ludowych staje się zagadnieniem bytu lub niebytu Polski... Ci, co tworzą, żywią i bronią, powiedzą dobitnie sanacyjno - endeckim, faszystowskim targowiczansom, że frymarzyć losami niepodległości Polski nie pozwolą, że nie ustaną w walce, dopóki nie staną się pełnoprawnymi obywatelami kraju”. KPP związała się bardziej z rzeczywistością przez wysunięcie szerokiej platformy frontu ludowego, która była wspólna dla komunistów i dla lewicowych pepesowców, dla ludowców i dla organizacji sanacyjnych, nastawionych opozycyjnie wobec rządu.

Jednym z haseł frontu ludowego była walka o pokój, który zagrożony został przez agresję japońskiego faszystwu w Chinach i włoskiego — w Abisynii, przez interwencję faszystwu włoskiego i niemieckiego w Hiszpanii. W tej sytuacji wysunięte przez Hitlera żądania

Gdańska i Górnego Śląska były zagrożeniem pokoju i niepodległości Polski. Masy pracujące Lublina żywo odczuwały potrzebę walki z tym niebezpieczeństwem i skupiały swe szeregi we frontie ludowym, którego inicjatorem i kierownikiem była KPP. W tych szeregach znaleźli się jednolito-frontowi członkowie OKR PPS i Rady Związków Zawodowych w Lublinie. Również dolne organizacje Stronnictwa Ludowego, zwłaszcza w powiatach krasnostawskim i puławskim, tworzyły razem z robotnikami jednolity front do walki z faszystwem. W tym froncie znalazła się także młodzież robotnicza, inteligentka i chłopska. Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej prowadził ożywioną działalność wśród legalnych organizacji robotniczych i chłopskich. Pod jego wpływem Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego w Lublinie i Wici niektórych wsi okolicznych, jak Stasin, a nawet pro-sanacyjny Siew w wsi Mętów — realizowały walkę frontu młodego pokolenia.

Hitleryzacja Gdańska przejawiała się we wzroście liczby hitlerowców w Radzie Ludowej miasta z 12 do 38, w Senacie zaś Gdańskim 9 hitlerowców na 11 mandatów, wywołała zrozumiałą niepokój również wśród społeczeństwa lubelskiego. Jedną z przyczyn tego stanu masy pracujące Lublina dostrzegały w prohitlerowskiej polityce zagranicznej prowadzonej przez Becka i w jego niechęci do projektowanego paktu

wschodniego, mającego objąć między innymi Związek Radziecki, Francję i Polskę. Aby nie dopuścić całkowicie do utraty zaufania w społeczeństwie, władze sanacyjne zwołały na dzień 19 lipca 1936 r. wiec z udziałem społecznych i politycznych organizacji sanacyjnych i endeckich w celu rzekomego wyrażenia protestu przeciwko uszczuplaniu praw Polski w Gdańsku i hitleryzowaniu instytucji samorządowych tego miasta. Pozbawione wyrazu politycznego przemówienie przedstawiciela władz nadało spodziewanemu przeciwstawieniu się charakter niemej manifestacji. Milczenie to przerwało przybycie niezaproszonych na zebranie osób. Władzom sanacyjnym bynajmniej nie zależało na masowym proteście. Potwierdzeniem tego może być fakt telefonicznego i poufnego powiadomienia swoich i bliskich sobie organizacji. Dowiedziawszy się o tym członkowie KZMP, stanowiący aktywny TUR, postanowili nadać demonstracji właściwe oblicze. Do grupy członków tej organizacji przyłączyli się strajkujący wówczas w Lublinie robotnicy brukarscy. Łącznie kilkaset osób ze sztandarem Związków Zawodowych ruszyło z ulicy Przemysłowej, gdzie mieszkała siedziba TUR i Związku Robotników Ziemi, i po kilku minutach znalazło się wśród stojących na Placu Litewskim. Czyż można było ubolewać nad grabieżczą polityką Hitlera nie wskazując na jego popleczników w kraju? Rozumieli to młodzi członkowie

(Dokończenie na str. 2)

(Dokończenie ze str. 1)

TUR i starsi robotnicy wnosząc do barbarnej manifestacji polityczne hasła przeciwko hitleryzmowi i proniemieckiej polityce Becka.

Oprócz demaskowania podczas przemówień przy innych okazjach groźby faszyzmu oraz polityki zagranicznej Becka, zagrażającej niepodległości Polski, członkowie TUR przygotowali inscenizację „Sąd nad wojną”. Wymowa polityczna tej inscenizacji była tak niewygodna dla władz sanacyjnych, że w rok potem podczas procesu politycznego przeciwko grupie TUR-owców akt oskarżenia wymieniał „Sąd nad wojną” jako jeden z przejawów antypaństwowej działalności tej organizacji.

KPP działająca nielegalnie, aby dożyć do szerszego mas, musiała wykonywać legalną działalność istniejących demokratycznych organizacji oraz tworzyć odpowiednie ramy organizacyjne dla urzeczywistnienia hasła frontu ludowego. Dużą pomoc dla partii w propagandzie antywojennej stanowiła Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela, w której przewodniczącym Zarządu Głównego był Andrzej Strug. Z zarządem lubelskiego oddziału Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela ściśle współpracowała Janina Bierowna, członek KPP. Wyloniony zaś na konferencji przedstawiciele 18 organizacji Komitet Pokoju umożliwił rozszerzenie działalności na cały okręg lubelski. Komitet Pokoju zorganizował koło referentów, które obsłużyło szereg zgromadzeń i zebrań z referatami o Kongresie Pokoju. Zebrania, na których przyjęto rezolucje w tym duchu i zgłoszono akces do Kongresu Pokoju, odbyły się w następujących organizacjach i związkach: TUR, ZZK, Związek Zawodowy Robotników Budowlanych, Ziemnych, Piekarzy, Szewców, Związek Spółdzielni Spożywców, kluby sportowe „Wieniawa”, „Stern” i „Kalinowszczyzna”, Zrzeszenie absolwentów szkół średnich. Na zaproszenie koła „Siewu” w Mętowie wygłoszono referat wobec 600 zebranych, którzy przyjęli solidaryzującą się rezolucję i zgłosili akces do Kongresu Pokoju. Podobne rezolucje i akcesy zgłoszono w Kraśniku w Związku Małorolnych oraz w Chelmie, gdzie tamtejsza organizacja TUR zorganizowała dwa zebrania z referatami.

Zasięg akcji w obronie pokoju rozszerzył się bardziej dzięki plebiscytowi pokoju, zorganizowanemu przez lubelski Komitet Pokoju oraz oddział Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wydrukowana w kilkunastu tysiącach ankieta zawierała kilka pytań, między innymi, skąd grozi wojna i jak jej uniknąć. Na ankietach wypełnionych zbiorowo, nie tylko przez mieszkańców naszego województwa, znajdowało się po kilkadziesiąt i więcej podpisów. Stwierdzały one groźbę dla pokoju i niepodległości Polski ze strony hitleryzmu i postulowały zmianę polityki zagranicznej prowadzonej przez Becka.

Popularność akcji pokoju postawiła na porządku dziennym sprawę akademii młodzieży w obronie pokoju. Aka-

demia taka odbyła się 23 sierpnia 1936 roku w sali kina „Corso” z udziałem 3 tysięcy uczestników. Ci, którzy nie mogli pomieścić się w sali, czekali przed budynkiem. Dwie trzecie uczestników stanowiła młodzież. W prezydium akademii zasiadli przedstawiciele OKR PPS, Rady Związków Zawodowych, Komitetu Pokoju, LOPCIO i TUR. Akademię zagał b. kombatan. Na program Akademii składały się 4 przemówienia: 1) Wojna 1914 — 18 2) Okropności wojny, 3) Faszyzm — to wojna w Hiszpanii, 4) Front przyjaźni pokój. Spośród młodzieży przemawiało 3 mówców: Witold Wudel, Maria Woźniakówna, Józef Kwieciński. Akademia odbyła się w podniosłym nastroju, zakończono ją odśpiewaniem Międzynarodówki.

Komitet Pokoju w Lublinie w dalszym rozwoju akcji uzyskał przystąpienie sanacyjnych Zjednoczonych Związków Zawodowych oraz czynił wysiłki pozyskania Wici, Cukunfu — młodzieżowej organizacji przy Bundzie — a także innych organizacji.

Do sekretariatu Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, mieszczącego się w mieszkaniu adw. Stefana Zajdenmana, wpłynęło około 10 tysięcy ankiet zbiorowo podpisywanych. Komitet Pokoju zamierzał wydać również ankietę w języku żydowskim, jednak starostwo zabroniło dalszego jej kolportowania,

nadesłane zaś po wypełnieniu ankiety, które miały stanowić materiał do opracowania i wniosków, zabrała policja podczas rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu Zajdenmana. Wkrótce potem władze zawiesiły działalność Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Dużą pomocą w docieraniu do szerokiej mas pracujących Lubelszczyzny w codziennej walce przeciwko faszyzmowi był wychodzący w Lublinie jako mutacja „Robotnika” — „Robotnik Lubelski”. Komitet redakcyjny tego pisma stanowią formę frontu ludowego, gdyż był w nim członkowie KZM, PPS i TUR. W skład jego wchodził: Wiktor Strzelecki, Michał Szyszko, Feliks Baranowski, Mieczysław Korzeniowski, Zofia Goldfinger-Kwiecińska, Stanisław Krzykała. Ostatnia strona pisma wydawną w Lublinie odbiegała istotnie od treści pozostałych stron, wydawanych przez CKR PPS w Warszawie. Dla władz policyjnych był to również jeden z argumentów oskarżenia członków TUR o antyrządową działalność.

Wspomnienia powyższe obejmują tylko wycinek działalności KPP, ukazujący głównie jej wpływ na młodzież i inteligencję. Nadchodząca 41 rocznica powstania KPP nasuwa okazję do głębszych rozważań i omówienia działalności tej partii na terenie naszego miasta.

Stanisław Krzykała

W OLSZTYNIE I GDZIE INDZIEJ

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Z dużym zaciekawieniem jechałem do Olsztyna na uroczystości Kajkowskie. Przed jedenastu laty zobaczyłem to miasto po raz pierwszy i natychmiast uległem wymowie jego zabytków i malowniczości otoczenia. Zawędrowałem wtedy i w głąb męczeńskiej a tak pięknej ziemi mazurskiej, która urzekła mnie urodą jezior i lasów. Powrót do miejsc nie widzianych od dawna ma zawsze w sobie posmak melancholii: poszukiwanie czasu utraconego, którego się nigdy nie odnajdzie. Wtedy bawilem tam jako nieznany turysta, poszukiwacz wrażeń i piękna, nie świadomy krzywd wyrządzonych wówczas ludowi mazurskiemu przez tępotę administracji i złośliwość niektórych elementów napływowych, ludowi znanemu mi jedynie z głośnie przedwojennej książki Wańkowicza, obecnie wydanej ponownie. Teraz jechałem jako oficjalny reprezentant literatów lubelskich na odsłonięcie pomnika poety-cieśli, symbolu niezłomnej polskości tego ludu, i na inaugurację roku poświęconego Michałowi Kajce i jego ziemi.

Zjazd wypadł imponująco: wszystkie regiony Polski były na nim reprezentowane. Przewodniczący Komitetu

Obchodu i wiceprezes miejscowego oddziału Związku Literatów Polskich, przemili kol. Władysław Gębik dwoił się i troił przemawiając wielokrotnie przy różnych okazjach a jednocześnie, jako troskliwy gospodarz, doglądając ogólnego porządku. Pierwszy dzień — sobotni (27 września) okazał się bardzo pracowity: przed południem spotkanie literatów, dziennikarzy, artystów i działaczy kulturalnych w Wojewódzkim Domu Kultury i obrady w czterech sekcjach (związków twórczych, naukowej, regionalnej i „Pojezierza”) nad formami współpracy kulturalnej i naukowej tutejszego regionu ze wszystkimi innymi w kraju; po południu — uroczysta akademii w Teatrze im. St. Jarczaka i na zakończenie dnia — znowu w Domu Kultury — wieczór jednego wiersza. W obradach uczestniczyli zaproszeni goście, tutejsi działacze, osiedleńcy i autochtoni. Mówiono o różnych bolączkach regionu, o potrzebie ochrony niszczących zabytków, o większym udogodnieniu turystyki, o konieczności stworzenia własnego wydawnictwa. Między innymi zabrano głos starsza pani, której przemówienie wygłoszone z dużą swadą i w doskonałej polszczyźnie zrobiło na mnie silne wrażenie. Mówiła ze wzruszeniem o uroczystej chwili, której doczekał lud mazurski: oto skromnemu poecie-samoukowi składają hołd literaci z całej Polski. To poetka i działaczka tutejsza Maria Zientara-Malewska. Jedyne pewna twardość jej wymowy zdradza w niej autochtonkę. Był na zebraniu i osiemdziesięcioletni Michał Lengowski, prezes olsztyńskiego oddziału ZLP. To ludzie mieszkający tu z dziada pradziada, nie więc dziwnego, że sprawy tej ziemi są im bliskie. Ale oto przybysz z Krakowa — Władysław Ogrodziński, kierownik wydziału kultury PWRN w Olsztynie, tak rozkochał się w tym kraju, że osiedlił się tu na stałe. A i niektórzy poeci żyli się bardzo z Warmią i Mazurami. Igor Sikirycki z Łodzi jeden z pierwszych zainteresował się twórczością Kajki, starał się ocalić jego spuściznę i kolatał o wydanie jego wierszy — wtedy nikt z nim nie chciał o tym rozmawiać: jakis Kajka? samouk? wierszokleta? komu to potrzebne? Aż wreszcie udało się Sikiryckiemu przekonać spółdzielnię „Czytelnik” i w opracowaniu łódzkiego poety ukazał się w r. 1952 wybór wierszy Kajki. Aleksander Rymkiewicz wiele strof poświęcił pięknu jezior i lasów mazurskich, stale tu przyjeżdża, uprawia sporty wodne i poluje. Głogus nieraz tu miewa wieczory autorskie. A służ prozalków, od Wańkowicza przed wojną i Newarlego po wojnie, akcje swych utworów wiąże z tą piękną ziemią.

(Dokończenie na str. 6)

(Dokończenie ze str. 1)

będzie Lublin. To, jak wiemy z doświadczenia, nie tylko zaszczyt, ale i okazja do uzyskania konkretnych, namacalnych korzyści dla miasta.

Przytaczam, że podane argumenty uzasadniają dostatecznie potrzebę organizowania w tym roku i w przyszłości „Dni Lublina”.

Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na niektóre problemy z dziedziny perspektyw rozwoju życia kulturalnego naszego miasta.

Ważnym wydarzeniem było niewątpliwie Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie poświęcone niektórym problemom kultury i jej ulepszenia. Plenum, a w szczególności podjęta w wyniku dyskusji uchwała, nakreśliła w sposób wyraźny kierunek rozwoju kultury i związanej z tym pracy, stwarzając możliwość kształtowania konkretnych perspektyw. Uchwała Plenum KW formułuje główne zadania w następujący sposób:

1. przyspieszyć wzrost kultury mas,

2. lepiej i pełniej wszczepiać socjalistyczną treść kultury.

Trzeba stanowczo stwierdzić, że nasze osiągnięcia w dziedzinie kultury dokonywały się i dokonują pod kierownictwem Partii, a realizacja tych osiągnięć była i jest zasługą naszego państwa. Trzeba również stwierdzić, że działalność kulturalna musi mieć wpływ na kształtowanie się socjalistycznej świadomości, musi pogłębić socjalistyczną świadomość, musi pogłębić i kształtować wartości postępowe i humanistyczne. Nieuznanie tej zasady prowadzi do wielu ujemnych zjawisk, z którymi nie możemy się zgodzić. Sprawą szczególnej wagi staje się wobec tego konsekwentna walka o socjalistyczną treść naszej kultury.

Mając na uwadze perspektywy rozwoju kultury socjalistycznej w naszym mieście, jak najszybszego umasowienia jej zdobyczy, przyspieszenie wzrostu poziomu kulturalnego mieszkańców Lublina, — należy ześrodkować wysiłki w trzech zasadniczych, równoległych kierunkach, którymi są:

1) rozwój sieci placówek kulturalnych, państwowych i społecznych oraz materialne zabezpieczenie ich działalności;

2) rozwój życia kulturalnego w zakładach pracy, dzielnicach i osiedlach (szczególnie na peryferiach) oraz wśród młodzieży;

3) dobór i wychowanie odpowiedniej ilościowo i jakościowo kadry pracowników kulturalno-oświatowych.

Szczególnie ostro zarysowuje się konieczność zajęcia się i właściwego pokierowania ruchem amatorskim i świetlicowo-klubowym, zwłaszcza młodzieży i mieszkańców dzielnic peryferyjnych.

W istniejących klubach i świetlicach trzeba koniecznie dążyć do wzbogacenia i uatrakcyjnienia treści ich życia. W szczególności dotyczy to sprawy czytelnictwa, jego właściwej popularyzacji i organizacji konsumpcji dóbr kulturalnych przez załogi zakładów pracy, ich rodziny oraz przez młodzież uczącą się i pracującą.

Sprawą pilną i konieczną jest reaktywowanie zespołów artystycznych w środowiskach robotniczych i wzmocnienie istniejących, lecz borykających się z trudnościami, zespołów młodzieżowych i dziecięcych (jak np. zespół dziecięcy Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia).

Biorąc pod uwagę rozmiar i ciężar zadań w dziedzinie życia kulturalnego, trzeba bezwzględnie rozpocząć i doprowadzić do końca walkę o rehabilitację i autorytet działacza kulturalno-oświatowego. Trzeba mu stworzyć nie tylko należyte warunki pracy, ale przede wszystkim właściwy klimat do przeobrażenia jego wielkiego często entuzjazmu i poświęcenia w konkretną i pożyteczną społeczną robotę. Łączy się z tym zagadnienie weryfikacji istniejącej i kształcenie nowej kadry.

Oto niektóre tylko spośród najważniejszych problemów, które rozciągnąć i załatwić należy. Rozwiązanie i załatwienie ich to nie sprawa dobrych życzeń z okazji „Dni Lublina”, to sprawa rzetelnej pracy tych, którym rozwój kultury socjalistycznej w naszym mieście leży rzeczywiście na sercu.

Bolesław Resch



SZADR: ROK 1905. KAMIEŃ BRONIA PROLETARIATU — BRAZ

Franciszka Arnsztajnowa

w hołdzie

Wacławowi Nałkowskiemu

Minęło 55 lat od chwili, gdy w numerze 6 „Ogniwa” z 1903 roku wydrukowano następujący list:

Szanowny Redaktorze!
Poziół mi za pomocą Twojego pisma wyrazić moje serdeczne podziękowanie Tym Wszystkim, z dala od Warszawy mieszkającym, którzy z powodu mej skromnej 25-letniej pracy przestali mi bądź listownie, bądź telegraficznie wyrazić życzliwość i uznania. Muszę tu, obok mych stron rodzinnych Lublina i Szczepieszyna, oraz szerokiego udziału młodzieży postępowej z różnych części kraju i zagranicy, podnieść z żywą wdzięcznością bardzo liczny i serdeczny udział mieszkańców Łodzi. Będę mocno obowiązany tym pismom, które zechcą łaskawie to moje podziękowanie powtórzyć.

Wacław Nałkowski

Może nie byłoby w tym, że ktoś dziękuje za pamięć o jego rocznicy, nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że jubilatem był Wacław Nałkowski i że 25 rocznica jego pracy naukowej, literackiej i społecznej miała wielką wymowę ideową. Oddajmy głos faktom, niech mówią, niech oskarżają.

Kiedy w 1877 roku ukazał się pierwszy artykuł Nałkowskiego pt. „Rzeki wałdajsko-sarmackie”, sytuacja materialna późniejszego „ojca geografii polskiej” była bardzo trudna. Zdarzały się i takie dni, w których trzeba było gotować zupę z pokrzyw a herbatę zastępować wodą zabarwioną jodyną, mieszkając przy tym w nędznym pokoiku nad Wisłą, w lecie zalewanym przez rzekę, w zimie nieopalanym do tego stopnia, że atrament zamarał w butelce. Po 25 latach ciężkiej pracy nad zreformowaniem geografii, po nieustannych bojach o triumf postępowej myśli pedagogicznej, po latach wytrwałej pracy nad budowaniem fundamentów pod gmach, w którym zamieszkać miałyby prawda i sprawiedliwość — mało się zmieniło w życiu niemal samotnego w swych dążeniach bojownika. Oto jakim zastał Nałkowskiego jubileusz — według relacji Aleksandra Świętochowskiego:

„...umysł wielki, samorodnej mocy, duży i niepospolity, przez lat 20 kilka był zaledwie dostrzegany tam, gdzie bakterie dziennikarskie w kolosalnych powiększeniach odbijały się na ekranach opinii publicznej. Wacław Nałkowski, który w społeczeństwie najsłabiej i posiadającym najbogatszy zasób sił naukowych szedłby w pierwszym ich rzędzie, między mistrzami, u nas jest prywatnym nauczycielem elementarnej wiedzy, wyrobnikiem podręczników, kruszącym marnotrawczo droższą bryłę swego mózgu dla zaspokojenia potrzeb codziennych, a mniej znanym ogółowi, niż wielu twórców piśni literackiej, po której nie zostaną nawet echa jej szumu”.

Jubileusz Nałkowskiego — tak przynajmniej należałoby przypuszczać — winien stać się zatem próbą wynagrodzenia mu wszystkich wyrządzonych krzywd, a więc: przyznania najwyższemu polskiemu uczonemu w dziedzinie geografii, parającemu się pracą zarobkową na prywatnych pensjach i kompletach — katedry uniwersyteckiej, polepszenia jego sytuacji materialnej, stworzenia dogodnych warunków do badań naukowych, wydania wielu nieraz epokowej miary dzieł, które całym latami czekały bezskutecznie na druk. Stało się jednak inaczej. I społeczeństwo, dla którego jubilat oddał wszystkie swe siły, nie było w stanie dać tego właśnie, co było mu potrzebne do dalszej pracy i walki, i sam Nałkowski nie liczył na taką zapłatę. Wyjaśnienia poszukajmy w artykule redakcji „Ogniwa” pt. „Na posterunku” („Ogniwo”, 1903, nr 3, s. 81—83), gdzie m. in. można było znaleźć następujący fragment: „Dla wielu najwyższą nagrodą są zaszczyty. O nie Wacławowi Nałkowskiemu nie chodziło. Zapanowanie prawdy byłoby największą dla niego — chęlibyśmy powiedzieć: nagrodą, ale ludzie jego miary nie rozumieją tego wyrazu. Wezwanie się jej byłoby więc dla niego największą uroczystością życia.”

W ciągu tylu lat znoju gorliwie pracował na rzecz tego swojego ideału. A pracując nieustannie, kierował

ROMAN ROSIAK

NIEZNANY AUTOGRAF
LUBELSKIEJ POETKI

się zasadami, dla których poważamy go głęboko. Albowiem: „Wiedział, że do walekich idei nie można iść przez krzywdy ludzkie. Pojmował, że idea wymaga czystych i przemyślanych czynów i całą mocą ducha swego protestował przeciw zasadzie machiawelizmu, iż cel uświęca środki. Żył myślą, iż idei nie wolno brukać przestępstwem lub oportunistem”.

W tych warunkach jubileusz Nałkowskiego musiał być obchodzony bardzo skromnie. Jak pisze serdeczny przyjaciel jubilata — Cezary Jellenta — „...całą dekoracją uroczystości była obecność kilkudziesięciu kolegów po piórze i zawodzie nauczycielskim, kilka słów hołdu, z najszczerzej głębi serca płynących i — mnóstwo oznak sympatii od inteligencji — spoza Warszawy”.

Prasa zbyła jubileusz Nałkowskiego w zasadzie milczeniem, z wyjątkiem kilku zaledwie pism, jak: „Ateum”, „Głos”, „Ogniwo”, „Prawda”, „Przegląd Tygodniowy”, „Rozwój” czy „Tygodnik Ilustrowany”. Zabrakło także przedstawicieli instytucji naukowych i wydawniczych, stowarzyszeń, organizacji społecznych itd. Nie zabrakło natomiast tych, których głosy były dla jubilata najdroższe, nie zabrakło dowodów pamięci i życzliwości społeczeństwa polskiego a zwłaszcza młodzieży.

Wśród wielu listów i życzeń, jakie otrzymał Nałkowski ze wszystkich stron kraju, a nawet zagranicy, znalazł się także długi, wąski, podwójnie złożony niebieski blankieciak, ozdobiony trzema białymi lilijkami, zapisany wyraźnym, ozdobnym, kobiecym piśmem. Blankieciak ten — to nieznaną autograf najpopularniejszej poetki lubelskiej, Franciszki Arnsztajnowej, która również złożyła hołd wielkiemu uczonemu, dedykując mu wiersz. Oto treść tego autografu:

Wacławowi
Nałkowskiemu
w hołdzie uznania

Blagosławiony, który z ziemi swojej człoda
Pismo runów tajemnych wyrozumieć zdoła,
I który okiem mędrca w warstwie prastarej pleśni
Dojrzy, jak wieków dzieło twórcze się cieleśni.
Blagosławiony stokroć, kto do ziemi łona
Uchem czujnym przypadłszy, w duszę swoją bierze
Ogień preczysty, którym wiecznie palą ona,
A z narzędzi prac cichych wykuszysz pancerce,
Na bój za prawdę idzie, jak owi rycerze.

F. Arnsztajnowa

Lublin, d. 15.1.1903 r.

Arnsztajnowa, składając hołd Nałkowskiemu, dała jednocześnie świadectwo swojej pięknej postawie obywatelskiej i umiłowaniu tych ideałów, którym jubilat poświęcił całe swoje życie. Dobrze poetka musiała znać twórczość autora „Ziemi i człowieka”, „Geografii rozumowej”, „Sienkiewiczianów”, „Jednostki i ogółu” i innych dzieł, skoro jakże trafnie zdołała odczytać ukryty w nich sens: nieustanne dążenie do poznania ziemi, wydarcia jej wszystkich tajemnic, ujarzmienia przyrody i zaprzęgnięcia jej w służbę człowieka oraz doprowadzenie do zwycięstwa ustroju, w którym prawda i szczęście wszystkich byłyby celem najwyższym. Nazwanie Nałkowskiego rycerzem było jak najbardziej trafne. Ten właśnie epitet rycerza czy bojownika przywarł do uczonemu już na zawsze. W rok po jubileuszu wydał on poemat o bardzo bogatym podłożu autobiograficznym pt. „Bojownik”, zaś w 1926 r., tj. w piętnaście lat po jego śmierci, na Powązkach odsłonięty został pomnik przedstawiający Nałkowskiego jako rycerza — długa jego córki, wybitnej rzeźbiarki, Hanny Nałkowskiej-Bickowej. Warto także dodać, że wiersz Arnsztajnowej był właściwie pierwszym utworem dedykowanym wyłącznie Nałkowskiemu. Poza nim znany jest jeszcze wiersz Leona Rygiara pt. „Vox aeternitatis”, dedykowany Wacławowi Nałkowskiemu w 1904 roku.

ANNA MARKOWA

Błąd ortograficzny ■ Szafa, stół, obraz i ty

ZACZYNA się jak bajka: „było to w latach ponurych i pełnych strachu”, ale dalszy ciąg locale nie przypomina bajki. Ksawery, doktor filologii polskiej, żył naprawdę. W dodatku „Ksawery” to nie było jego imię tylko nazwisko, ale to już inna sprawa.

Mawiał zawsze: „Jeżeli już musisz mieć wrogów, to lepiej niech cię nienawidzą, niżby się mieli z ciebie śmiać”. Takie zdanie charakteryzuje go w zupełności jako człowieka trochę staroświeckiego i niezbyt skłonnego do kompromisów. Rzeczywiście nie uznawał ich w poglądach na życie i na gramatykę opisową, którą wykładał przed wojną.

Było to w latach ponurych i pełnych strachu. Któregoś ranka Ksawery szedł jedną z głównych arterii miasta. Na murze, bardzo blisko banku, widniało wypisane w nocy, pod samym nosem posterunku hasło: „Niech przypadnie podły wróg” — i wykrzyknik. To pisali mali chłopcy, właściciele dzieci i dlatego w napisie oprócz nienaturalnego stylu była jeszcze jedna osobliwość. Słowo „wróg” miało „u” zwykłe w środku.

Ksawery stanął i patrzył. Takie stanie nie było bardzo bezpieczne, ale on zrobił coś znacznie gorszego. Wyjął z kieszeni kawałek kredy i zaczął pedantycznie poprawiać błąd w słowie „wróg”...

Podobno w śledztwie powiedział, że to on napisał hasło na murze. Ci, którzy go mało znali, byli pewni, że zrobił tak, bo mu już było wszystko jedno. Nie mógł chyba spodziewać się, że gestapo uwierzy w tę historię z błędem ortograficznym.

Ale ja i tak wiem, że jemu chodziło o coś zupełnie innego. On nie chciał usłyszeć ich śmiechu, a przecież musieliby się śmiać.

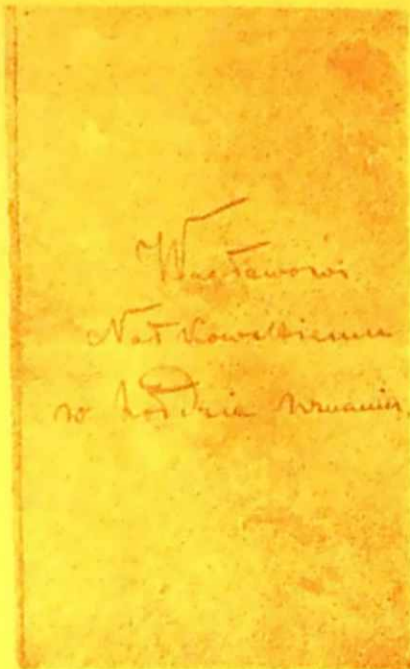
COZ to znaczy „usunąć kogoś z serca”? Wytarty slogan, jednym słowem nic. Ale przecież można próbować zatrzeć czyjeś ślady w tych czterech ścianach, między którymi obijamy się przez całe lata. I ty właśnie to chciałaś zrobić.

O, byłaś bardzo sprytna. Zaczęłaś od szafy, w której on zawsze wieszal swoje ubrania. Tiama-czyłaś: — Po co tu taka wielka szafa, zajmuje tyle miejsca. — Kiedy ją zabrano, okręcałaś się w dziecinnych piruetach na zdobytym skrawku podłogi, wołając: — He tu przestrzeli! — To znaczyło, że teraz jest już o jakieś dwa metry kwadratowe mniej wspomnień...

Potem upatrzyłaś sobie stół. On uznawał tylko prostokątne stoły, więc teraz koniecznie chciałaś mieć okrągły. — To jest o wiele praktyczniejsze — wyjaśniałaś, i trudno było zaprzeczyć. Dostałaś okrągły stół.

Został jeszcze tylko jego ulubiony obraz na frontowej ścianie. Z tym może byłby pewien kłopot, bo on nie zajmował dużo miejsca, ale przecież ty teraz nieźle znałaś się na sztuce. Na szczęście obraz był rzeczywiście dosyć kiepski. Wyniosłaś go na strych, bo dobry gust i delikatność uczuć nie pozwoliły ci go sprzedać.

Teraz byliście już tylko wy dwoje. Tobie nie przypominało tamtego. Wam obojgu też nie go nie przypominało, kiedy siedzieliście mocno spleceni ramionami. Ale skoro tylko zaczęłaś krzątać po pokoju i ten, dla kogo wyrzuciłaś wspomnienia, patrzył na ciebie z daleka, tak jak ty kiedyś na fatalny obraz — wszystko wracało na nowo. Nie było szafy, stołu i obrazu, ale byłaś ty.



SŁOWACKI NA LUBELSKIEJ SCENIE

ANNA
TATARKIEWICZOWA

Szczupły brunecik, Syn Sally,
I nagie — Ogień — Idea:
Polska — On — Salomea
I już się wszechświat pali!

Czaszka, zeszcze piszczele
I obcej ziemi grudka...
Matki nie ma w kościele,
Dobranoc, biedny aniele!

Julian Tuwim:
„Pogrzeb Słowackiego”

ILE razy o tym myślę, chwytam mnie tak zwana szewska pasja: że Słowacki, jeden z największych a kto wie czy w ogóle nie największy dramaturg romantyczny w Europie — za życia nie widział ani jednej ze swych sztuk na scenie, a do dziś jest dla widzów w tejże Europie — poza szczupłą garstką fachowców — postacią zupełnie nieznaną. I potem jeszcze spece od krytyki kręcą nosem na „opóźnianie się” polskiej kultury. Już co jak co, ale romantyzm mieliśmy najpierwszej klasy i wcale nie opóźniony — Słowacki tworzył swe młodzieńcze dramaty akuratnie w tym samym czasie, kiedy we Francji młodzi dramaturgowie romantyczni brali szturmem twierdzę trzech jedności, ale jakaż różnica między ich karierą a tą całkowitą obojętnością, z jaką spotykał się u swych rodaków „szczupły brunecik, syn Sally”. Pomyśleć, że już nie tylko Hugo, ale taki Dumas, „w cywilu” podobnie jak młody Słowacki — aplikant kancelaryjny, na premierze swego „Henryka III” miał wśród widzów iluś tam książąt krwi, że jego „Krystyna”, napisana arcy-podłym wierszem i nie dorastająca do pięt „Marii Stuart” — odniosła zwycięstwo sceniczne tylko dzięki solidarnemu współdziałaniu całej romantycznej konfraterni, że postacie jego sztuk wcieliły się w kształty tak świetnych aktorek, jak panna Mars, majestatyczna Georges, żywiołowa Dorvalka, że dwudziestoparoletni dramaturg chodził po Paryżu w sławie jak w słońcu... A Słowackiego, autora „Marii Stuart”, ledwo tam gdzie przyjmowano z laski na pańskich, emigracyjnych salonach, a nawet najbliższe istoty poskapyły mu słowa zachęty. Biedny, biedny anioł! Biedna nasza kultura, w najpiękniejszych swych wznosach tak okrutnie kielnana przez Historię, która nie mogąc zdławić talentów, skutecznie przynajmniej dławiała i usuwała w cień ich dzieła. I tym większa szkoda, że dziś, gdy taż Historia dała nam po wiekach jedyną szansę, jaką jest zainteresowanie Europy, i nie tylko Europy, dramaturgia nasza ma dziwnie skromny dorobek, niezbyt nadający się „na wynos”. Żebyż tak teraz urodził się nam jaki nowy Słowacki czy Fredro!...

PISZĄC, że Słowacki jest może najwybitniejszym dramaturgiem romantyzmu europejskiego (nie dalałabym tego „może”, gdyby nie istniał Musset), miałam oczywiście na myśli jego późniejsze arcydzieła, ale i młodzieńcza „Maria Stuart” zajmuje wciąż miejsce wśród rozmaitych rówieśnych sobie „Marii”, „Krystyn” i „Lukrecji”, wytrzymując zwycięsko porównanie ze wszystkimi, nawet powstałymi o dziesięć lat później, a tak głośnymi i sławionymi w epoce dramatami Wiktora Hugo. A jeśli jeszcze zważymy, jak uboga i wąta była tradycja polska w tej dziedzinie, to „udatne wypracowanie”, jak je określił profesor Kleiner — budzi prawdziwy podziw pewnością ręki, wyczuciem sceny, umiejętnością konstruowania wcale interesujących postaci, nie mówiąc już oczywiście o walorach czysto poetyckich. Co prawda jest w „Marii Stuart” niemało romantycznego schematyzmu (każda epoka ma swój schematyzm) w samym wyborze tematu, w problematyce, w potraktowaniu poszczególnych charakterów, ale obok tego holdu, składanego modzie, są też kreacje bardzo własne, jak Rizzio czy Nick. Rizzio, postać nasycona treścią autobiograficzną, rysuje się z mussetowską subtelnością, a wyprzedza chronologicznie cały teatr Musseta. A przede wszystkim Nick, blazen, który w swej

genealogii ma co prawda postacie trefniejszych szekspirowskich (któż z romantyków nie był dłużnikiem angielskiego olbrzyma?), ale ma też Słańczyka i rodzimą, polską, chłopską biedę. Gdy słucha się przedśmiertnych wyznań Nicka, trudno nie zadumać się nad tajemniczą talentu, który temu młodemu dandysowi, przybyłemu z prowincjonalnych salonów krzemienieckich do stołecznej Warszawy — pozwolił wejrzeć z taką ostrością widzenia i z takim współczuciem na niedole polskiej wsi, znanej mu przecież tylko zza szyb dworców szlacheckich, w których bywał gościem. Wspomniany już Wiktor Hugo napisał cały dramat, poświęcony blaznowi — „Król się bawi” — ale o ileż jego Trybulet jest mniej ludzki, mniej prawdziwy, bardziej melodramatyczny niż Nick, postać nakreślona nota bene przez znacznie młodszego autora.

MARIA Stuart” teatr lubelski zainaugurował nowy sezon, a zarazem zainaugurował na terenie naszego miasta — Rok Słowackiego. Jakiego względy zdecydowały, że wybór padł na tę właśnie sztukę, nie najświetniejszą przecież i nie najciekawszą w bogatej spuściźnie dramatycznej poety? Zapewne chodziło o utwór nie ograny jeszcze na lubelskiej scenie, a także o możliwości obsady. I tutaj właśnie nasuwają się pewne wątpliwości. „Maria Stuart” należy do sztuk bogatych w „role”; bez mała każda postać ma tam swoją „wielką scenę”, a przynajmniej ładny epizod. Nad wszystkimi jednak króluje postać tytułowa, skupiająca wokół siebie wszystkie nici dramatu, prawie stale obecna na scenie, koncentrująca na sobie uwagę widza, no, jednym słowem, co się zowie „wielką rolą”. Od właściwego jej obsadzenia zależy więc w ogromnym stopniu sukces całej realizacji scenicznej; upraszczając, można powiedzieć, że bez Marii Stuart nie ma „Marii Stuart”. Na premierze postać tę odtwarzała Maria Górecka. Jest to aktorka zdolna i o dużej kulturze, nie wydaje mi się jednak, aby mogła ona ku pełnej satysfakcji własnej i widowni udźwignąć tę rolę, wymagającą talentu dość specjalnego i o wielkiej skali. Osobiście widziałabym Górecką raczej w repertuarze klasycznym niż romantycznym; wyobrażam sobie, że mogłaby być doskonałą Celmeną, jako Maria Stuart sprawiła mi zawód. Królowa Szkotów w jej interpretacji jest raczej sztywna niż majestatyczna; momenty liryczne są zbyt jednoznacznie pogodne, bez dramatycznego podtekstu, jaki wyczuwamy w każdej scenie sztuki; co ważniejsze, artystce brak wewnętrznej żaru, który pozwoliłby nam uwierzyć w prawdziwość uczuć i siłę namiętności, doznawanych przez młodnicę i zbrodniarkę w koronie. Górecka jest oczywiście zbyt wytrawną aktorką, aby nie mieć dobrych zagrań (scena z Rizziem przed jego śmiercią; scena w której Botwel wydziera jej rozkaz zabicia Darnleja), ale w sumie rola ta pozostawia uczucie niedosytu. W tej sytuacji bohaterami wieczoru stali się

Darnlej i Nick. Bardzo dobrym, bardzo szekspirowskim (czy mi się zdaje, że był trochę podcharakteryzowany na Oliviera?) Darnlejem okazał się Mikulski, który potrafił wydobyc całą słabość i bezwolność nieszczęsnego męża Marii, budząc zarazem współczucie dla jego osamotnienia i niedoli. Balerzak jako Nick dał jeszcze jeden dowód swego pięknego i wielostronnego talentu. Artysta ujął powierzoną sobie postać bardzo intelektualnie; jego Nick to człowiek, który wie i nie ma złudzeń; szczególnie trafne wydaje mi się rozebranie sceny przedśmiertnej, bez lezki, bez patosu, bez śladu „bebecchów”, dzie-

Stuart”, to — zgodnie z intencją autora — „drama historyczne”, ale wiadomo także, że dramata romantyczne przy całym swym rozmiłowaniu w „kolorycie lokalnym”, z historią obchodzą się nader bezceremonialnie. Najtrafniej ujął to onże Dumas, autor nie wiem już ilu historycznych powieści i sztuk teatralnych, przyznając się szczerze, że dla niego historia to tylko hak, na którym wieszka swe obrazy. Podobnie ma się rzecz z „Marią Stuart”, w której mamy prawo widzieć przede wszystkim dramat psychologiczny; kościec sztuki: (Dokończenie na str. 6)



Maria Górecka (Maria Stuart) i Jan Machulski (Rizzio)

ki czemu skarga blazna — dla mnie przynajmniej — była tym bardziej przejmująca. Lech Skolimowski w roli Botwela... ale stop! tu musimy cofnąć się do sprawy koncepcji reżyserskiej. Cofnąć się, bo zazwyczaj koncepcję tę charakteryzuje się choćby najogólniej na wstępie rozważań o spektaklu. Jeśli tym razem zaczęliśmy od aktorów to dlatego, że — jak mi się zdaje — przedstawieniu zabrakło właśnie jednolitej koncepcji, zabrakło odczytania tekstu z jakiegoś konsekwentnie obranego i zachowanego punktu widzenia, że każda z postaci żyła trochę na własny rachunek. Jak wiadomo, „Maria

jest „odkrywanie prawdy samemu sobie”. A więc obrachunek z sobą. Konfrontacja własnej postawy z rzeczywistością, potrzeba uzewnętrznienia swojego „ja”. Sposób objawiania się „ja” poetyckiego jest w gruncie rzeczy obojętny, przychodzi jakby sam, w wyniku dłuższego dojrzewania w podświadomości — to zresztą zależy od dyspozycji samego poety.

Tu dochodzimy do spraw genezy wiersza, do procesu jego kształtowania się od załóżki do gotowego utworu. W tym wypadku sprawdzają się przewidywania Fika, że geneza i przebieg powstawania wiersza jest w gruncie rzeczy taki sam. Wiele wypowiedzi w „Tworzyw” jest ilustracją tych przewidywań. Podobnie opisuje elementy inspiracji poetyckiej sam Fik, tak samo Czechowicz, Ilakowiczówna, Gisges czy Spiewak. Różnice pojawiają się dopiero w stadium konkretyzacji pomysłów. Słowem, w drodze od „zdarzenia wewnętrznego” do „zdarzenia warsztatowego”, że użyję celnych sformułowań Jana Huszczy.

Wydało się, że doświadczenia przekazane przez poetów w „Tworzyw” nie wnoszą do teorii literatury nowych sformułowań. I nie na tym polega ich wartość. Raczej — i tu znów powołajmy się na Fika — potrzebne są one jako komentarz do poetyckiej twórczości poszczególnego poety. Potrzebne są badaczom literatury i jeszcze bardziej szanemu czytelnikowi wierszy, stęsknionemu wiedzy o tajemnicach alchemii słowa.

Osobiście polecałabym tę książkę jako lekturę obowiązkową dla krytyków, zwłaszcza dla tych gromko pouczających poetów, jak mają pisać. Przekonają się, że poeci posiadają wyczuć istoty poezji i doskonale znają warunki, jakie powinna ona spełniać. A praktyka? To już zupełnie inna sprawa.

I na zakończenie informacja: w tym jeszcze roku ukażą się trzy tomiki „Rzeczy poetyckiej”, zawierające omówienie sytuacji we współczesnej poezji polskiej, antologię współczesnej poezji oraz wybór wierszy i wypowiedzi młodych poetów. Stanisławowi Czernikowi i Wydawnictwu Łódzkiemu należą się słowa uznania za „dobrą robotę”.

*) Rzecz poetycka. Tworzywo. Łódź 1938. Wyd. Łódzkie.

Rzecz o godności słowa

TADEUSZ KŁAK

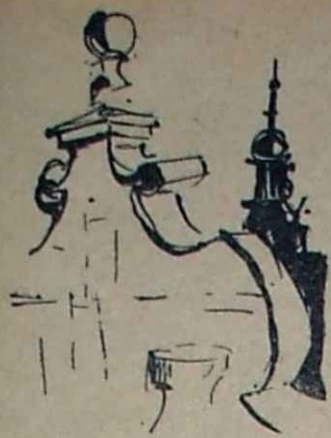
„Tworzywo” — „Rzeczy poetyckiej” część druga (część pierwsza ukaże się później) zawiera kilkanaście odpowiedzi współczesnych poetów na pytanie: jak tworze, jak powstaje wiersz? Jest to wynik ankiety zorganizowanej przez redaktora tomu, Stanisława Czernika. Do wypowiedzi współczesnych dołączył Czernik wyznania nie żyjących poetów — Józefa Czechowicza, Ignacego Fika związane z podobną ankietą przedwojennej „Okolice Poetów” oraz wykraczające poza temat — uwagi Józefa Wittlina o jego pracy nad tłumaczeniem „Odysei”.

Być może, że inspirowanie i organizowanie takich wynurzeń pozbawia je uroku bezpośredniości, ale dobre i to — w przeciwnym wypadku nie byłoby ich w ogóle. „Tworzywo” jest pozycją przez to ciekawą, że u nas poeci bardzo rzadko i niechętnie mówią o tajemnicach rodzenia się utworów. Zapewne gra tu rolę przejawiająca się u wielu poetów niechęć do zastanawiania się nad tymi sprawami i obawa przed racjonalizacją procesu twórczego. Tę obawę sygnalizują artykuły Huszczy, Ilakowiczówny, Pogonowskiej czy Sterna. Racjonalizacja procesu po-

wstawania wiersza prowadziłyby — ich zdaniem — do zamknięcia poety na zawsze, a w każdym razie osłabiłaby świeżość poetyckiego odczuwania. Zawiera się w tych obawach zapewne pojmowanie poezji na sposób romantyczny jako misterium niedostępnego kontroli intelektu. Ale to raczej na pozór. Tak doświadczona poetka jak Ilakowiczówna powiada, że nie wie, co to takiego natchnienie. Plechal mówi, że „wiersz nie pisze się jedynie w chwili natchnienia, lecz długoletnim doświadczeniem całego życia”. Więc jednak nie ma fetyszu natchnienia, lecz fetysz pracy. Takie pojmowanie poezji odczytujemy we wszystkich wypowiedziach i świadczy ono o traktowaniu swojej pracy na serio, o ponoszeniu odpowiedzialności za słowo — przede wszystkim wobec siebie.

Ciekawe jest rozłożenie akcentów prawie wszystkich ankietowych wyznań. Zgodnie podkreśla się konieczność opanowania tzw. warsztatu, cyzelowania słowa, wzbogacania języka poetyckiego. Ale równocześnie zakłada się sprzeciw wobec narzucanej hegemonii zagadnień formy i warsztatu nad sprawami podstaw światopoglądowych, moralnych i społecznych. Jest to do pewnego stopnia polemika z teorią awangardy, zwłaszcza z Przybosiem, z jego programem „najmniej słów”. Tymczasem — odpowiada Plechal — „twórczość polega nie na najmniejszej ilości słów, tylko na jak najwłaściwszym ich użyciu”.

W wyznaniach poetów odczytujemy prymat spraw — nazwijmy je umownie — światopoglądowych. Najlepiej chyba sformułowała to Pogonowska: zasadniczym elementem wysiłku twórczego



IRENA KOZIEJOWSKA

Łowcy

Aniel zestrzelony śrutem —
kulkami wrogimi lotem
spadł na odległość dłoni.

— Święci patroni,
co to!?

A myśliwy z trofeum u pasa
i z dumą na krwistej gębie
rzekł:

— obywatelskim obowiązkiem
w naszych czasach
jest strącać szkodliwe jastrzębie.

HELENA PLATTA

Wiersze z Pienin

ZBÓJNICKI

Błądzi po beskidzkich świerczynach
góralka: baśń, balladyna.
Malin jest dość, dostatek,
więcej dzban napelnić łatwo.

Ku dunajcowej srebrności
pechyla twarz od skały,
zagłada w oczy wodzie
zmaczonej i zuchwalej:

Na dnie, gdzie wiry krążą,
w petli na dnie, pod skrętem,
złamane wiosło leży
strzaskane, zbójnickie, ścięte...

Luskam błasków prześwieca
pogodny dzień w Pieninach.
Na zboczach: jałowce, złocenie
i krople krwi:

— maliny.

PRZED ŚWITEM

Nad Grajcarem przysiadły
gaździny zażywne:
Jarmuta z Palenią
w podółkach kołysząc
łąki, chaty, zagony.
Noc księżycowym kuflem
czepie źródeł ciszę
i polewa nią sady uspione.
Stoję w oknie. Oddycham latwiej,
nawijając na palce
szmerów łańcuszki:
— mgły wzdychają,
skrzypią galezie,
szepce potok,
a nad czołem Jarmuty
widać różowe smugi.

JERZY KSIĘSKI

Krajobrazy

(fragment)

Januszowi

III. BIAŁA BRON

Rzeka szumiła jak rzeka,
pływało sto trupów po niej,
gdy rankiem zdobyto brzeg.
Kiedy grzebało się ciała,
wrywano z bagnatów dlonie,
a brzeszczoły obmywała krew.

Nie plakały wtedy kobiety.
Mówiły, że woda w rzece trupia
i nie można prać białizny.
Starcy odzęgnywali zarzę.

To wszystko się przypomniało,
kiedy onegdaj w rzece
odnalazło się na dnie
złamana szwoleżerska szabla,
którą pewno stracił piękny młodzian
dawno, dawno temu.

VI. KONTREDANS

Rzeka szumiła jak rzeka,
nikt dziś pod mostem nie spał,
po prostu bliżej do knajpy
temu, co lazi obdarty.

A więc jest bardzo dobrze,
a więc jest jeszcze dobrze
— mówią, że coraz lepiej —
Nikt nie śpi na ulicy,
każdy ma kąś swój ciepły
w knajpie albo u ludzi.

Jest taki kraj, gdzie się dzieli
czasem zapalkę na czworo,
a ćwiartkę wódki na raz.
A potem my śpiewamy:
— Maruszka, nie zapomnę nigdy
[cudnych oczu twych...]
albo — Hej, hej, ulani.

Gdy się zarzyga nocą różę
na najpiękniejszym z placów,
powiedzą: — Wypil trochę dużo,
lecz to wesoly facet.

Chleję, skrzypku!
Jest kraj, hej, hej,
gdzie ziemia rodzi z woli Boga,
a że czasem poskapi Bóg
to nie, Rzeczpospolita doda.

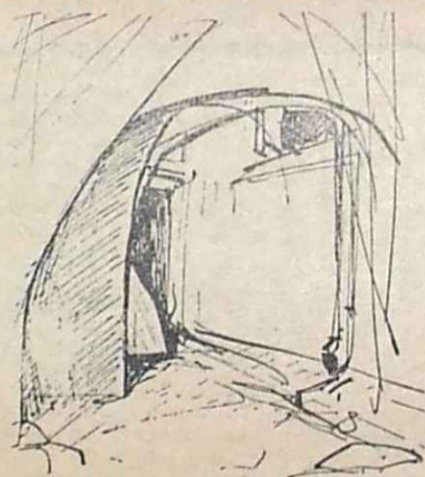
Rzeka? Cóż, szumi jak rzeka.
Kanałów sto do niej wieka
i tysiąc leniwych rynsztoków.
A miasto śni ryuny srebrne
nadziemne i nadniebne
śpiąc sobie na lewym boku.

VII. RZĘKA

Rzeka nie szumi jak rzeka,
nie pływa sto trupów po niej,
nikt na dnie szabli nie znalazł
i śpi ktoś czasem pod mostem
złożywszy głowę na dlonie.

Śpi ktoś czasami pod mostem,
bo noc i czeremcha nad miastem,
a rzeka wcale nie szumi
tylko jest cicha, mądra
i jak narzeczona modra

cóż rzeka — po prostu rzeka.



RYSZARD LISKOWACKI

Śmiertelna radość

Uspokój się, nocie przebiegną przez nas
jak stado dzikich koni,
stado dzikich koni biegnących

[do źródła.

Uspokój się, mój cień i tak nas
nie zastani...
stratują nas, stratują nas,
o moja cudna.

Zostanie po nas jasny zakręt lata,
uspokój się, to i tak, bardzo,
bardzo wiele.
Spotkamy się, moja cudna,
na wąskiej kładce światła,
gdzie dnie są kolorowe,
jak najpiękniejsze niedziele.

Ale teraz, uspokoń się,
bo nadbiega, nadbiega już stado,
prowadzi je czarny,

[czarodziejski mustang,
abyś nie krzyknęła przed śmiercią,
w tę wielką, śmiertelną radość,
zamurując ciszą twoje usta.

STEFAN WOLSKI

Widok z Lublina

Tu
czasu rzeka kaśliwa
brzeg mój falą podbiera;
rok po roku odrywa
z serca klejnoty nieraz.

Stąd,
z niewielkiego Lublina,
aż dziw, jak widać daleko.
A brzeg nad falą się zgina,
nad mądram, płynącą rzeką.

Rok za rokiem szeregiem idzie,
nieśie wolno moje lata rzeka
ku głębiom, z których jest życie
i próg ostatni człowieka.

Tak toczy nurt moje lata,
a im dalej każde zanosi,
tym bliżej całego świata;
i rośnie obszar mych włości.

Stąd,
z niewielkiego Lublina,
aż dziw, jak widać daleko,
gdy czas nad falą się zgina,
nad ciągle płynącą rzeką.



ANDRZEJ TURCZYŃSKI

Rysunki dzieci

Dziwni ludkowie
W czapkach wysokich aż do nieba
O błękitnych oczach
O czerwonych policzkach

Na zielonych koniach
Brzęcząc drewnianymi pałaszami
Galopują po horyzontach
Swoich marzeń

Małe śmierzące podwórko
Z wielkim koszem na śmiecie
Jest słoneczną arkadią
Gabinetem rozsławionej radości
Beczka nieodgadnionych tajemnic
Kluczem sezamu
Kwiatem

Za kilka lat z tego wyrosną
A szkoda
Przecież świat jest taki czarodziejski

BARBARA MINEYKO

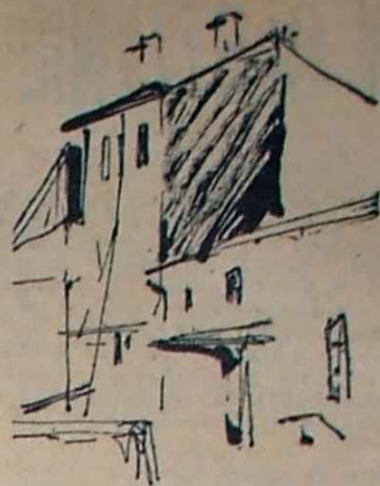
(DEBIUT)

Gwiazdy i ptaki

Gwiazdy —
czcionki niebieskiej drukarni
owinięte chmurami przedburzowej
[wiosny,
kto odczyta wasze myśli spięte,
myśli „nowość” znaczące
— pierwiastki,

Zurawie —
kluczem rozciągnięte w dali,
czyje serca otwierają myślacie?
Pewnie serca ludzi zakochanych
— gdzieś w podniebnym błaznie
błękitcie.

Ptaki —
listonosze stęsknionych kochanków
przynoszące w kopertach słońce,
przynoszące mnóstwo tajemnic
— pośród piórek nadzieje
gorące.



ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

Pejzaże morskie

LATARNIA MORSKA

Mówisz: róż mi serce ludzkie,
cóż ludzkie serce znaczy.
A latarnia morska
co noc tnie mrok
żółtymi nożami reflektorów,
wskazując drogę tym,
dla których ziemia znaczy ocalenie.

PLAŻA

Ultramaryna wody,
ziemia zielona;
a między nimi
rozwieszono żółtą płachtę,
po której biegają
brązowe, żywe posążki.

BURZA

Wiele wiatr,
zły wiatr
niosący deszcz
i gromem ciężarne chmury.
Z nieba biją w morze
chybkie i krzywe,
żółte kije piorunów.

JAN STANISŁAW
STEFANIAK

Oświęcim

Drzewa rosną na niebie
jesienią dymów
na ziemi wiatr
zły buldog
wyje

rankiem tłusty popiół
kurzem
do liści kwiatów przywarł
nie widział słońca dzień
trzeba malować było
czerwienią ludzkich żył
i wschody
i zachody

w nocy
reflektor odkrył księżyc
jak cel
dla zenitówek

a potem
w pacierza rytm
automat błyskał
padali po kolei
i szli
do pieca

krążyła śmierć w pasjaku
licząc wystrzelone laski
zaniezione ojczyźnie.



W OLSZTYNIE I GDZIE INDZIEJ

(Dokończenie ze str. 2)

Akademia. Jak zwykle nudny referat okolicznościowy. A w części artystycznej między innymi i starzy znajomi lubelscy: Olgierd Straszynski dyrygujący Olsztyńską Orkiestrą Symfoniczną i Stanisław Michalik recytujący programowy wiersz Kajki. Poza tym chór miejscowej rozgłośni pod dyr. Wł. Jaromłowicza i przekonująca melodramatyczna „Kronika Olsztyńskiej” Gałczyńskiego w wykonaniu Bogdy Gębikówny.

Wieczór jednego wiersza w wypełnionej po brzegi sali. Przybył z Lengowskim na estradzie: awangardowy poeta i układacz antologii „Jabloneczka” obok sędziwego autora wierszy ludowych i zbieracza pieśni mazurskich. Sikirycki z młodzieńskim, bardzo dobrze zapowiadającym się poetą mazurskim Edmundem Germanem. I Czernik, i Dobrowolski, i Gisges, i Rymkiewicz, i autor tych słów z napisanym przed jedenastu laty wierszem „Olsztyn”. Grupa miejscowych pisarzy ludowych: Zientara Małewska (z doskonale wygłoszonym wierszem w gwarze), Teofil Ruczyński, Alojzy Sliwa, Jan Dopatka i Mirosław Leyk. A na zakończenie pięknie i wzruszająco przemawiał Melchior Wańkowicz, który i na rannym posiedzeniu głos zabierał. Oklaskom nie było końca.

Nazajutrz już od szóstej rano całodzienna wyprawa autokarami do Ełku na odsłonięcie pomnika. Po drodze oglądamy Warszawę — dom, w którym się urodził Feliks Nowowiejski, i nagrobek w kościele biskupa warmińskiego Andrzeja Batoiego, bratanka króla. Śniadanie jemy w Mikołajkach, gdzie stateczek na jeziorze w ładny, słoneczny dzień jesienny kusi, aby się przejechać do Giżycka.

Jak Ełk Ełkiem chyba nigdy nie było tutaj takiego mrowia ludzi. Przemawia dr Gębik, przewodniczący PWRN w Białymstoku Popko, wiceminister Zaorski, odsłonięcia pomnika przy dźwiękach mazurki Dąbrowskiego dokonują zastępca przewodniczącego Rady Państwa Bolesław Podedworny. A potem mnóstwo, mnóstwo wieńców składanych przed pomnikiem przez różne delegacje. Jest wśród nich i grupa komunistów białoruskich.

W powrotnej drodze już wieczorem zatrzymujemy się w Ogródku, by złożyć kwiaty na grobie poety. Obecny jest i syn poety; drugi — starszy poległ w czasie ostatniej wojny. Dwie córki pierwszego — dorosłe i przystojne panie, jedna pielęgniarka, druga technicystka, mówią czystą polszczyzną bez żadnego obcego akcentu. Piętnastoletni syn poległego Kajki, wychowany przez matkę w duchu niemieckim (Kajkowa zamierza wyjechać z nim do Niemiec), podobno był jednak w Ełku na odsłonięciu pomnika dziadka. Nad grobem poety kilka przemówień. Starym działaczom mazurskim Karolowi Małkowi, kierownikowi Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach, głos załamuje się ze wzruszenia, gdy mówi, że Kajkę zawdzięcza wytrwanie w polskości. Późnym wieczorem wracamy do Olsztyna.

Poniedziałek. Dzień spotkań literackich na Mazurach. Niektórzy koledzy jadą pociągami do pobliskich i dalszych miejscowości. Ja — prosiłem o poranek autorski w którejś ze szkół w Olsztynie. Kol. Gębik ustalił z dyrektorem Państwowego Liceum Pedagogicznego, że moje spotkanie z młodzieżą odbędzie się na ostatniej godzinie lekcyjnej w najstarszej klasie przyszłych maturzystów. Czasu mam dość. Obejrzę znajdujący się w pobliżu szkoły cmentarz katolicki. Przy wejściu sekcja wypełniona mogiłami z lat ostatnich: tu spoczywają przybysze z różnych stron polskich, którzy osiedlili się w Olsztynie. Ale mnie interesują dawne groby, stara część cmentarza. Nic nie zmysławia wymowny proces germanizacji tutejszej ludności mazurskiej niż niemiecka transkrypcja polskich nazwisk na grobach: stuletnia Karoline Palmowski, Apolonja Turowski, Julius Sombrutzki, Grzeskowiak, Rosalie Szlachta (nawet nie przez sch!), Orłowski, Lukowski, Johann Borzanowski itd. itd. Gdybym zadał sobie więcej trudu, wynotowałbym takich nazwisk z pewnością setkę. A rdzennie niemieckich stosunkowo mało: Klatt, Goldbach, Schulz.

Refleksje snute na cmentarzu postużyły mi za punkt wyjścia przy zagajeniu spotkania z młodzieżą. A później odczytałem jej kilkanaście wierszy, zaczawszy od „Olsztyna”, „Jezior mazurskich” i „Warmii”. Słuchano uważnie

i z zaciekawieniem, ale jak zwykle trudno było wywołać dyskusję. Tym trudniej zresztą, że rozporządzałem tylko godziną lekcyjną, a to zbyt mało czasu, by ośmielić młodzież do wynurzeń.

Po zjedzonym naprędce obiedzie przejeżdżam taksówką po Starym Mieście i do jezior. Nad Długim zabawiłem godzinę — oczywiście w poszukiwaniu utraconego czasu: ileż to razy kapałem się tu z synem!

A wieczorem odjazd do Szczecina. Trzy przedziały I klasy wypełnione pasażerami różnej płci i wieku, mówiącymi między sobą przeważnie po niemiecku [...]

Kazimierz Andrzej Jaworski

SŁOWACKI na lubelskiej scenie

(Dokończenie ze str. 4)

maż pięknej kobiety uśmierca domniemanego kochanka, rzeczywisty kochanek uśmierca męża — można by wpisać doskonale w jakiegokolwiek inne, nie historyczne tło. A więc pierwszy problem, który staje przed reżyserem: psychologia czy historia? Problem drugi wiąże się ze „schematyzmem” tej romantycznej dramy dwudziestoletniego poety. Najbardziej schematyczną postacią jest właśnie Botwel, któraś tam woda po Byronie, typowy romantyczny bohater z piętnem losu na czole, obnoszący swe konieczne błędy i posępne oblicze oraz samobójcze zamiary po wszystkich sztukach romantycznych, bez względu na to, w jakiej epoce autor każe mu wieść jego anachroniczny żywot, bez względu na to, czy na imię mu Didier, Antony czy Byronie. I tu znów reżyser musi rozstrzygnąć: czy przyjmuje Botwela z całym dobrodziejstwem inwentarza, czy też chce wyłuskać z niego to, co może zadecydować o autentyczności tej postaci: bezwzględnej karierowiczki, dla którego uczucie zakochanej w nim kobiety jest tylko kluczem do władzy. Otóż mam wrażenie, że Urdęja w swej koncepcji zatrzymał się w pół drogi: nie zdecydował się ani na pokazanie „Marii Stuart” jako dramatu przede

wszystkim psychologicznego, ani też na oczyszczenie jej (niekoniecznie nawet z ołówkiem w ręku, wystarczyłoby w tym celu odpowiednio rozłożenie akcentów), z tego, co jest w niej dawno przebrzmiałą modą. Najgorzej wyszedł na tym Botwel, którego reżyser i autor potraktowali z całą powagą jako demona, gdy tymczasem prosiło się o ujęcie go jako niezbyt obrotowego arysty, któremu niespodzianie gładko spełniają się jego sny o potęgę. Podobnie też wolałabym, aby Maria — reżyser kazał częściej schodzić z tronu (dosłownie i przenośnie), pokazując w niej bardziej kobietę niż królową (bo to, że Słowacki na bohaterkę wybrał właśnie królową, należało także do romantycznych schematów, z którymi zerwać w swych dojrzałych dziełach). Ale — skoro już mowa o reżyserii — formułując pewne zastrzeżenia, musimy za to wyrazić uznanie dla dyskretności, z jaką podane zostały najbardziej melodramatyczne sceny sztuki, dla delikatności, z jaką wydobyto sceny liryczne. Tu z pomocą przyszli reżyserowi aktorzy: Górecka i zwłaszcza Mikulski bardzo ładnie i czysto zagraли scenę wzajemnego „przebaczenia”; Machulski słabszy w sporze z Duglasem, podczas „flirtu” z królową potrafił znaleźć ton pełen wdzięku i subtelności. Epizodyczną rolę Astrologa zagrał Wacław Ścibor; Xenia Jaroszyńska jako Paź była urocza, ale wydaje mi się, że ta bardzo dziewczęca aktorka niezbyt dobrze czuła się w męskich bądź co bądź szatkach; w każdym razie nie osiągnęła tu ekspresji, jaką pamiętamy z przedstawienia „Nie igra się z miłością”. Trochę za sztywny i za głośny był Duglas — Jarosław Skulski; postaciami raczej z komedii niż z dramatu byli Morton — Wiszniewski oraz Lindsay — Nowakowski.

Dekoracje — projektu Uklei — oszczędne, w umowności swej sugestywne i estetyczne; kostiumy bogate, przeważnie ładne; inna sprawa, czy sztuka nie lepiej wyszłaby na dyskretniejszym „ukostiumowaniu” (vide sprawa koncepcji).

Program, jak zwykle staranny, przynosi małą encyklopedię wiadomości o Słowackim.

W sumie: przedstawienie nie całkiem równe i nie całkiem jednolite, ale na pewno ambitne, interesujące i zdolne pobudzić do myślenia. A to już wiele, nawet bardzo wiele.

Anna Tatarkiewiczowa

WAKACJE

JANUSZ DANIELAK

Byliśmy już dorośli.

To było szaleństwo — te pierwsze dni po maturze. Nie dni właściwie — nie odróżniliśmy dni — ale smuga jasnego, ciepłego światła. Oszołomieni wolnością, całymi godzinami krążyliśmy po mieście. Wąskie ulice S. pełne były naszej gadatliwej radości. Nie prowadziliśmy nigdzie — szliśmy w nieskończoność.

Wieczorem spotykaliśmy się w kawiarni, smakując swobodę i tanie wino. Tym, którzy próbowali pętać nasze wzruszenie więzami rozsądnych przewidywań, proponowaliśmy wypicie jeszcze jednej butelki wina. Ciepła fala unosiła nas. Wędrowaliśmy po łagodnej wypukłości, w końcu zawisaliśmy wysoko, gdzieś pod niebem — skąd już nie było widać. Nawet krajobrazy wspomnień nie interesowały nas. Czas zatrzymał się i przestał istnieć.

Potem trochę zaczęło mnie to nudzić.

Wyjechałem do Borowa. W gimnazjum mówiło się kąpiąco — „Moje wiejskie posiadłości”. Nasz mały domek stał na skraju wsi, przytulony do lasu. Było tam cicho i spokojnie. Ciocia Izabela, wciąż zajęta krzątaniną w kuchni, ruszała się prawie bezszelestnie. W pokojach było dużo słońca, ściany były białe i moją radość przyciemniała tylko choroba matki.

Była akuszerka.

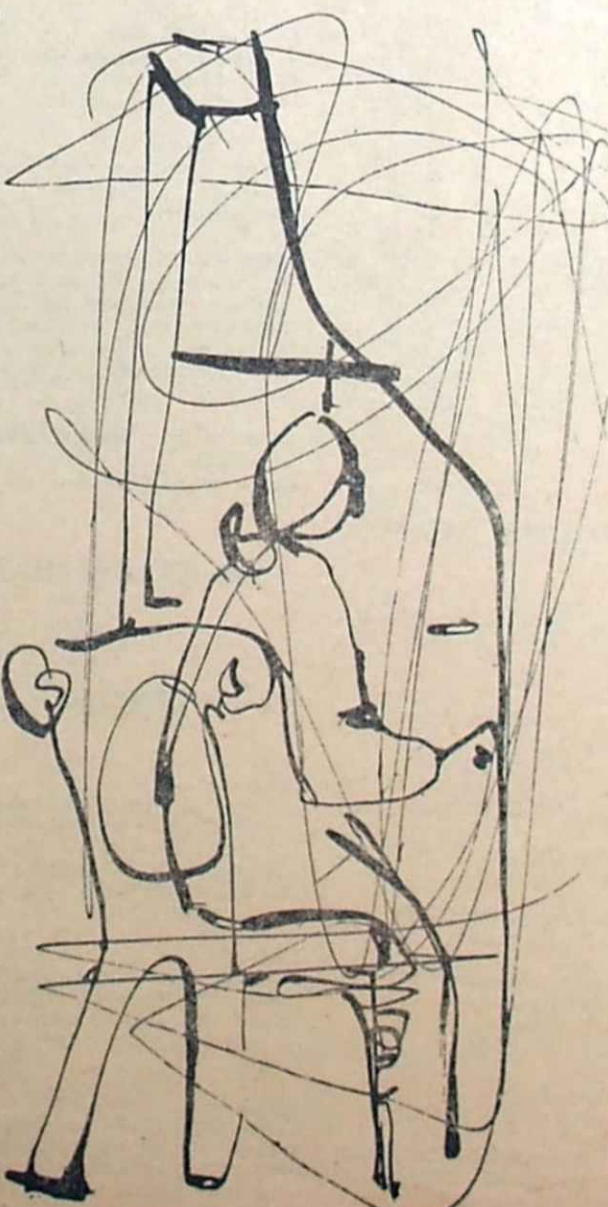
Zawód dość paradoksalny. Cały czas zajęta wydobywaniem na świat nowego życia, sama narażona była na ciągłą natarczywość śmierci. W przerwach między wykwitami nowych istnień z przerażeniem śledziła, jak jej własne istnienie staje się coraz bardziej zagrożone. Zaczęła, wsłuchiwała się w siebie, by usłyszeć każde zahamowanie obiegu krwi. Miała chore serce.

Każde nowe urodziny przybliżały ją do śmierci. Wiedziała o tym. Nie powinna się przemoczyć. Ale byłam bezradny. Z niepokojem obserwowałem tylko, jak cała jej osobowość wyradza się w jakiś ogromnie uproszczony system lęków i obaw.

Wciąż ulegając obserwacji strachów wzmówiła mi przemoczenie. Z moich dobrych stopni na świadectwie wysunęła wniosek o niezbedności odpoczynku.

Samą ideę odpoczynku matka potraktowała niedwuznacznie: leżak i spacer.

Mój dzień został oprawiony w ramy śniadań, obiadów i kolacji, rytm posiłków miał wyznaczać sens mojego istnienia.



Ciocia Izabela odmierzała ten rytm z rutyną doświadczonego dyrygenta. Obserwując jej gesty przy nakrywaniu do stołu ulegałem złudzeniu, że chodzi tu już nie tylko o mnie, o regularność odżywiania zalecaną przez współczesną wiedzę, ale o coś wiele ważniejszego — o samą istotę porządku. Jej spokojny głos, wzywający na kolację, wyznaczał jakoś bieg wszechświata.

Właściwie — było mi dobrze. Moje umiowanie wolności i buntownicza wiedza stały się bezradne wobec logiki dobrego jedzenia, wobec atrakcji usankcjonowanego lenistwa.

Robiłem to zresztą dla matki. Nie chciałem, żeby się denerwowała.

Wstawiałem wcześniej, ponieważ według matki tylko to gwarantowało, że będę zdrowy. Szedłem na krótki spacer, ponieważ potrzebne mi było świeże powietrze. Jadłem śniadanie i potem leżałem, głowę trzymając w cieniu. Zdarzały się niekiedy wypadki porażenia słonecznego i nie mogłem się narażać. Obiad jadłem także wcześniej, znów kładłem się na leżaku i dopiero przed kolacją szedłem na dłuższy spacer, starając się wdychać głęboko zanikające już światło dnia.

Przybywało mi na wadze, matka cieszyła się. Byłem zadowolony, że mogę sprawić jej przyjemność. Byłem dobrym synem. Ciocia Izabela chwaliła mnie.

Matka zaczynała pracę rano i prawie zawsze wracała dopiero wieczorem. Często także musiała wychodzić podczas nocy. Inne bowiem matki w ogóle nie liczyły się z godzinami. Byłem oburzony, ale rozumiałem, że tego nie da się zmienić. Matka zresztą prosiła mnie, żebym na nią nie czekał w nocy. Spałem więc, chcąc być jej posłusznym.

Wszystko to było zupełnie naturalne do dnia przyjazdu Marii. Zresztą i potem, przez jakiś czas, nie się nie zmieniło.

Maria przyjechała na letnisko. Nigdy jej dawniej nie widziałem. Dziwiłem się, że przyjechała akurat do Borowa, skoro miała do wyboru tyle piękniejszych miejscowości. Kiedy zapytałem jej o to podczas naszego pierwszego spotkania w lesie, powiedziała, że to kaprys jej ojca. Byłem mu bardzo wdzięczny za te kaprysy.

Wynajęli sobie mieszkanie w ładnej willi z drugiej strony małego zagajnika.

Maria była bardzo ładna. Dzięki niej zrozumiałem, że matka nie ma prawa mnie tyraniżować.

Z początku spotykałem się z Marią tylko podczas spacerów.

Chodziliśmy długo po lesie i po paru takich spacerach spróbowałem ją pocałować. Powiedziała, że mnie lubi.

Oczekiwałem teraz z niecierpliwością na spacer, które dawniej były ciężkim obowiązkiem.

Drzewo gra...

MIECZYŚLAW TARGOŃSKI

Pierwsze skrzypce wystrugane z drzewa przez małego Franía nie dorównywały nawet góslłkom podhalańskim, ale grały... Tak przynajmniej zdawało się wiejskiemu chłopcu, urzeczonym czarem melodii wędrownego grajka.

Szczęśliwy czuł się wówczas, gdy śledząc na skraju lasu, opodal chaty, w której przyszedł na świat — przysłuchiwał się dziwnym dźwiękom płynącym z boru... Pograżony jakby we śnie zapominał o otaczającym go wokół świecie. Nie słyszał ryku bydła pasącego się na pobliskiej łące, ani nawoływania pastuchów. Nie obudziło go ujądanie psów. Tylko szum drzew dochodził wyraźnie do jego uszu i przywoływał do świadomości. Wyniosłe sosny, dumne dęby, drzące osiki, skarżące się brzozy, płaczące wierzby przydrożne... nuciły jakąś pieśń. To drzewa grały... Teraz zrozumiał, że trzeba je tylko wziąć do ręki, odpowiednio wystugać, nagiąć i zmusić do tego, by wydawały żadaną melodię. To było szczytem marzeń, ale już pierwsze kroki były zrobione. Miał w rękę mały instrument własnej roboty, prosty wprawdzie, lecz posłuszny. Wykonany był z sosnowego drzewa i można było z niego wydobyć tony zbliżone do tych, które go kiedyś oczarowały.

Ale rozczarowanie przyszło szybko. Z każdym dniem spostrzegał coraz głębszą różnicę pomiędzy skrzypcami wędrownego grajka a własnymi. Stało się to dla niego jasne, gdy pewnego dnia

wcisnął się do chłupy sąsłada, u którego odbywało się wesele. Choć w charakterze gościa, nikt prawie nie zwracał na niego uwagi. Niezmordowanie grała wiejska kapela. Rozezochrany chłopak bił w bęben, aż w izbie hucało. Wtórował mu na skrzypcach wymukły blondyn, wywijając smykłem od ucha do ucha. Franío długo nie spuszczał oczu z zaczarowanego drzewa. Śniło mu się ono następnej nocy, drezczyło, prześladowało... Widział je później na wiejskiej zabawie. Wciąż takie samo, w dalszym ciągu nieosiągalne. Powiadałi starzy ludzi, że posiada ono uwodzicielską moc:

Wesołe drzewo, wesoło śpiewa,
koń nad baranem ogonem kiwa.
W lesie ścięto, w domu nagięto,
po wsi chodzi, dziwki zwodzi.

Upłynęło kilka lat i nie się na pozór w Niwkach nie zmieniło. Przybyło tylko rodzeństwa i w chacie robiło się ciasno, a w miskach skąpo. Franío podrosł i doszedł do wniosku, że należy ojcu pomóc. „Trzeba ruszać w świat” — pomyślał, bo nie było innej rady. Opuścił więc wioskę rodzinną i wyjechał do Zawiercia, by rozpocząć nowe życie. Zawód stolarza najbardziej mu odpowiadał. Pracował w tym fachu początkowo w Zawierciu, a następnie w Częstochowie. Po zapewnieniu materialnej podstawy bytu — ożenił się i przeniósł z rodziną do Lublina. Teraz z kolei mógł powrócić do marzeń okresu dzieciństwa, którym pozostał wierny przez długie lata.

Wolny czas poświęcał nauce gry na skrzypcach i wiolonczeli. Nauczycielami jego byli: prof. Czerniawski i prof. Lillenthal. W tym okresie zajmował się już poważnie lutnictwem, grywał na różnych instrumentach i był członkiem Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego.

W 1909 r. wyróżniono jego prace na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Częstochowie. Pierwszy jednak wielki sukces odniósł Franciszek Borowiecki w r. 1929, na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, gdzie otrzymał Wielki Złoty Medal „za mistrzowsko wykonane skrzypce”.

W r. 1936 na Ogólnopolskim Konkursie Instrumentów Smyczkowych w Krakowie otrzymał Wielki Medal Muzeum Przemysłowego, „jako wyraz najwyższego uznania za mistrzowsko wykonany zespół instrumentów kwartetowych oraz za chlubną i owocną działalność na polu szlachetnego rękodziela lutniczego”.

Inny kwartet Borowieckiego brał udział w Międzynarodowym Konkursie Kwartetów Smyczkowych w Liège (Belgia), a po powrocie do kraju wzbogacił zbiory wystawy „Skrzypce w Polsce”, zorganizowanej przez Muzeum Narodowe w Poznaniu (r. 1952).

Pomimo podeszłego wieku nestor lutników polskich nie ustaje w pracy. Obecnie, mając lat 90 — wykańcza sto trzydziesty dziewiąty instrument. W ciągu wieloletniej działalności starał się opierać na wzorach włoskich.

Na skrzypcach Borowieckiego koncertowali: Eugenia Umińska, Wilkomirska, Stanisław Jarzębski oraz dyrygent znanej orkiestry wrocławskiej — Stanisław Namysłowski.

W dowód uznania za długoletnią pracę w dziedzinie lutnictwa — Rada Państwa przyznała Franciszkowi Borowieckiemu Złoty Krzyż Zasługi (r. 1955), a Prezydium MRN w Lublinie — nagrodę artystyczną miasta (r. 1956).

FRANCISZEK
BOROWIECKI

Nowy list z daleka

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

MOJE listy do „Kamenu” znaczą porę roku. To nie dlatego, że piszę rzadko; to dlatego, że czas jest niepokonany w swym biegu.

Bo proszę: kiedy ostatni raz zabierałam się do pisania — liście na drzewie, które dotyka mi okien, stawały się radośnie zielone, a dziś... Dziś moje drzewo spotkał ogromny cios. Po prostu ścięto mu wszystkie konary, ponieważ było za silne i rozsadało trotuar, no i jeszcze dlatego, że na zimę tak ściśnięć podobno trzeba. A więc już zima!

Znaczą ją również rozpoczęty tu sezon teatralny i właśnie oglądałam w „Naszym Teatrze” „Penelope” Ludwika H. Morstina. Ta sztuka rozgrywająca się w Itace, jakby rozgrywała się w naszych sercach, bo wielu wśród nas było Odysów, których rozszarpała tęsknota za ziemią rodzinną. Nie wiem, czy „Penelope” grano u Was — a jeśli tak, to autor wyraził rozpacz wszystkich żon czekających na powroty zawisłe w pomroce lat. I jakkolwiek sztuka obfituje w wiele scen pogodnych i frywolnych — cechuje ją ciężar smutku, pochylonego nad wojnami, czekaniem, rozdarcie, wiernością i niewiernością.

Artyści „Naszego Teatru” osiągnęli coraz wyższy poziom swej gry i kreacje

Laertes, Penelopy, Odysa i Melanta godne z pewnością byłyby szerszej widowni i większych scen. Nasza emigracyjna widownia tutaj jest szczupła, jednodostajna, prawie zawsze ta sama. I coraz smutniejsza. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie, patrząc z łoża na wypelniony parter. Znamy się tu wszyscy. Znamy się i możemy na sobie obserwować bieg lat i wyżłobione na nas zmiany: postacie, twarze coraz starsze — tego pochylania się nie tuszują eleganckie kapelusze ni coraz więcej futer i srebrnych lisów. Wprost przeciwnie: tak jakoś dziwnie bywa (może zresztą wszędzie), że im starsza twarz, tym piękniejszy strój — i ten dziwny kontrast staje się jakimś przykrym symbolem.

Sens sztuki, zaklęty w odyseę tęsknoty — i te stare, wypetłzone twarze bolały mnie długo, gdy już zatarił się w oczach blask antycznych kolumn i stroje itackich dziewcząt, w których mieszał się kolor morza z kolorem miłości i życia.

„CIGÜENA CON ANTEOJOS”

TRUDNO wprost uwierzyć jak swobodni są Argentyńscy w nadawaniu zartobliwych określeń swym mężom stanu i jak wielka pod tym względem jest tu wolność słowa.

Przez długi jednak czas, mimo że Maria często mnie zapraszała, nie chciałam iść do ich mieszkania. Niepokoił mnie jej ojciec. Sądziłem, że nie będzie zadowolony z moich odwiedzin.

Ale już podczas pierwszej wizyty (w końcu zdecydowałam się) przekonałam się o swojej pomyłce. Ojciec Marii nie interesował się mną. Wydawało mi się, że także niewiele interesował się Marią. Zajęty był swoimi sprawami i zdarzało się często, że wychodził, nie mówiąc ani słowa. Prawie o nas zapominał. Siadaliśmy wtedy cichutko, wciągnięci w kątek pokoju, całując się i tuląc ze wszystkich sił naszej młodości.

Ale codziennie, szybko i nieuchronnie zbliżała się godzina kolacji... Podnosiłem się i mówiłem do Marii, że już muszę iść. Zawsze wtedy pytała się mnie, czy mam jej już dosyć, czy mi się znudziła. Mówiłem, że wcale nie, ale muszę iść na kolację. Śmiała się i nie chciała odprowadzić mnie nawet do progu. Na drugi dzień znów spotykaliśmy się w lesie. Byłem bardzo szczęśliwy.

Kiedyś wieczorem, gdy ojciec Marii wyjechał na parę dni do miasta, zostałam sama. Kiedy wracałam do domu skradając się ostrożnie od strony zarośli, zobaczyłem, że matka i ciocia Izabela śledzą przed domem, trwożnie wpatrzone w ścieżkę. Były tylko jedne drzewa, nie mogłem ich wyminąć. Pierwszy raz wtedy powiedziałem, co o tym wszystkim myślę. Mówiłem, że nikt nie ma prawa pętać mojej młodości, niszczyć mojego szczęścia głupim przekonaniem, że trzeba chodzić wcześniej spać.

Często spóźniałem się teraz także na obiad. Ciotka Izabela zawsze czekała w kuchni i od razu dostawa-

łem gorącą zupę. Jadłem szybko i znów wracałem do Marii. Robiliśmy długie wycieczki w głąb lasu.

W połowie sierpnia ojciec Marii wyjechał z Borowa. Zostaliśmy teraz sami ze swoim szczęściem.

A jednak nie sami. Prawie zawsze, kiedy wracałem w nocy do domu, czekały na mnie pełne przerażenia oczy mojej matki. Nie spała nigdy, ale nie już teraz nie mówiła. Zaczynałem ją za to nienawidzić. Dlaczego mnie w ten sposób szantażuje? Przecież wie, gdzie jestem i mogłaby spać spokojnie. Dlaczego czeka, wiedząc, że przecież będę martwił się o jej zdrowie? Mówiłem jej to wszystko. Jednak wciąż nie sypiała po nocach.

Jeżeli zdarzało się, że wracając w nocy do domu nie zastałem matki, ponieważ wyjechała akurat do jakichś nagłych urodzin, cieszyłem się. Szybko szedłem do swojego pokoju i zasypiałem, marząc o następnym dniu.

Dzięki miłości Marii rozumiałem wartość życia. Te wszystkie dawne sztubackie historie wydawały mi się teraz śmieszne i beznadziejnie nudne. Te nieśmiałe przytulenia na ławce w parku, dotknięcie pocałunkiem w cieniu drzew, przypadkowe dotknięcia podczas kąpieli to przecież nic nie miało wspólnego z prawdziwą miłością.

Ale matka pilnowała mnie.

Widziałem kilka razy, jak idąc ścieżką przez ogród, zatrzymywała się co parę kroków i oddychała gwałtownie. Wiedziała, że ja widzę. Podejrzywałem, że robi to dlatego, żeby mnie zwrócić.

Podejrzywałem, że nienawidzi Marii dlatego, że jestem z nią szczęśliwy.

Którejś nocy, przechodząc przez pokój matki, zobaczyłem puste łóżko. Ale przecież zdarzało się to dość często. Miałem jednak złe przeczucie. Ciocia Izabela, mimo że od dawna przyzwyczaiła się do moich późnych powrotów i tylko zostawiała mi w piecu kolację — śledziła pod oknem, tępo zpatrzoną w noc. Gdy zapytałem, udając obojętność, kiedy wróci matka, odwróciła się i zobaczyłem, że płacze.

Przed godziną matkę odwoziło pogotowie.

Rano pojechałem do S.

Z trudnością dostałem się do szpitala. Matka po ataku serca była biała, leżała nieruchomo.

Poprosiłem ją wtedy, żeby mi wszystko przebaczyła.

Ale nienawidziła mnie naprawdę.

Uśmiechnęła się i powiedziała, że jak umrze — to ja będę szczęśliwy.

Wróciłem do Borowa.

Opowiedziałem wszystko Marii. Kazała mi wcześniej iść do domu. Mówiła, że jest zmęczona, że chce spać. Nie pozwoliła mi nawet pocałować się „na dobranoc”.

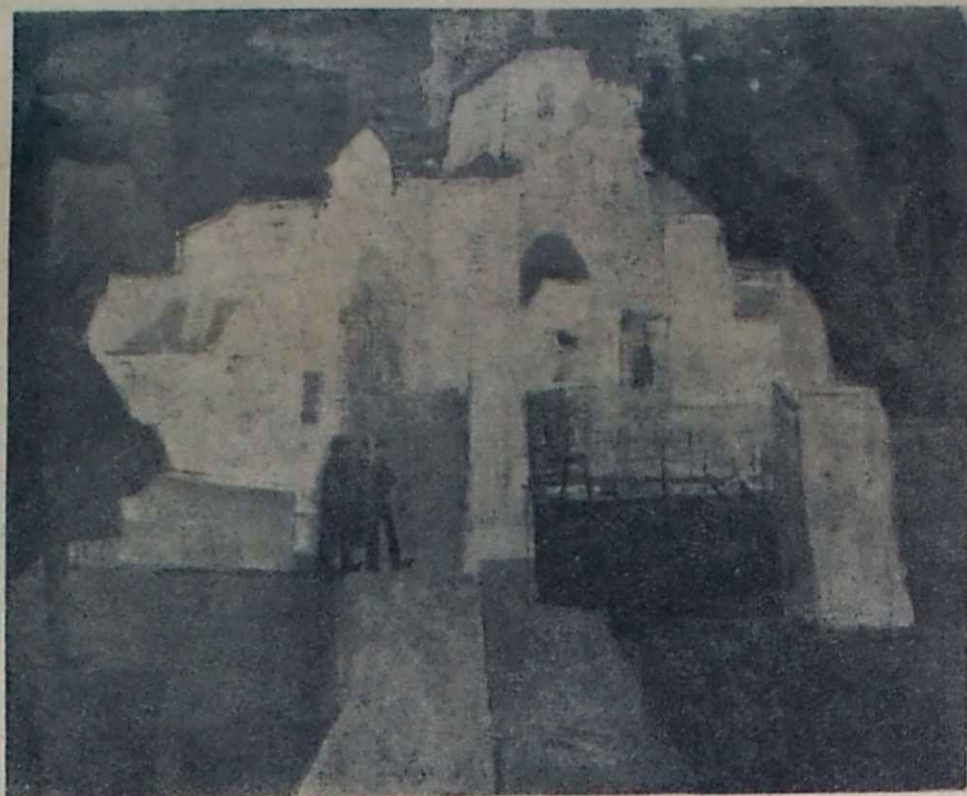
Następnego dnia powiedziała, że wyjeżdża. Rozstał się właściwie bez pożegnania.

Jeszcze tego samego dnia zawiadomiono mnie, że matka miała drugi atak serca i nie przetrzymała go.

Janusz Danielak

O wystawie Rozgoura

MARIAN MAKARSKI



Y. Razgour — Paryż, pejzaż (olej)

Popularność wystawie Y. Razgoura narzuciło z miejsca słowo Paryż! — niebywała reklama, a w tym wypadku — reklama dobrego towaru.

W dorobku Y. Razgoura obserwujemy wyraźny podział na gwasze, które artysta przywiózł z Paryża, oraz oleje powstałe w Kazimierzu.

Y. Razgour w swoim cyklu olei pokazał nam Kazimierz zadziwiający. Jest tam wszystko: i cisza przyczajona w zaułkach i czerwień spiętrzonych dachów, Maria — którą nazwie Bogną... Jest chłód jesiennego poranka, ciepło południa i jest Razgour — malarz. Ale czy mistrz musiał przyjechać z Paryża, aby zrozumieć to, z czym nie potrafimy się uporać, czemu nie umiemy nadać fizycznych kształtów? Czy Piotr Potworowski musiał wyjechać do Anglii, aby tam zdobyć dopiero światową rangę? Jest w tym coś zastraszającego... Znam takie miasta, gdzie karierą ludzi jest uciec do stolicy. Znam takie stolice... Nie! Nie znam!

W obrazach Razgoura jest nastrój osamotnienia, ciszy, tęsknoty, jest coś z Utrilla. Ale przede wszystkim Razgour szuka własnej drogi poprzez syntetyczne ujęcie tematu, ogranicza swoje środki do minimum. I tu występuje wyraźna indywidualność. Do tej syntezy dąży poprzez kolor, fakturę, kompozycję. Jest to jednak droga, a droga po kilku kilometrach może się zmienić. I to jest dobrze. Ekspozowane obrazy to dopiero pierwsze duże słowa, to zamknięcie krótkiego okresu. (Razgour kończył akademię Paryską w roku 1951). Artysta ten posiada jedną z najlepszych cech — pracowitość. A to wróży wiele.

Dobrze się stało, że obrazy Y. Razgoura znalazły wreszcie salę na Zamku w Lublinie. Sala Domu Architekta w Kazimierzu, niedostępna dla zewnętrznego widza, podkreślała anormalność naszych stosunków i mentalności, krzywdząc tego artystę. Ekspozowane gwasze przywędrowały z Paryża, czy po to, aby znaleźć się pod kluczem? A tak stało się w Kazimierzu. Malarstwo Razgoura — to malarstwo na wskroś nowoczesne. Razgour udowodnił, że nowoczesność to niekoniecznie abstrakcja, malarstwo bezprzedmiotowe (którego jestem zwolennikiem), ale przede wszystkim praca, świadomość twórcza, opanowanie warsztatu itd, itd.

To chyba najcenniejsze, co przywiózł nam z Francji Razgour i za to należy mu się podziękowanie.

Nowy list z daleka

(Dokończenie ze str. 7)

Południowej. Co i raz wybuchają pałodniowe rewolucje w Boliwii, Wenezueli, Chile — później przechodzą jak przelotne deszcze, znów świeci silne, południowe słońce i pachnie wino.

Południowcy mają nieposkromione temperamenty i zebrani w tłum mogą stanowić wielką groźbę — jak to było ostatnio z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych Nixonem, którego obrzucano kamieniami w Peru i Wenezueli. W Buenos Aires, gdzie był gościem rządu, przybył na uroczystości objęcia władzy przez dr Frondizi, przyjęto go poprawnie, ale bez serdeczności.

Ameryka Łacińska pragnie być samodzielną i nie chce, by „Yankis” (jak nazywają urągliwie Amerykanów) wtrącali się do ich spraw i bogactw. W Argentynie chodzi im specjalnie o naftę, ale dr Frondizi zapowiedział, że sprawę tej będzie strzegł „osobiście”.

„Cigüena con anteojos” dzielnie sobie poczyna!

ZBLIŻA SIĘ SEJM

ARGENTYNA dokonała wyborów swych władz, a miniaturowe państwo, jakie stanowi Polonia — swego Sejmiku, który odbędzie się za miesiąc. Jest to Walny Zjazd, na który przybywają delegaci trzydziestu kilku Towarzystw zrzeszonych w Związku Polaków — z najdotlejszych stron Ar-

gentyny, jak na przykład z Comodoro Rivadavia, Mendoza i Misiones.

Wybieramy wtedy nowy Zarząd — prezesa (w języku hiszpańskim „Presidente”), paru wiceprezesów, sekretarzy i innych członków. Zjazd trwa kilka dni, debaty bywają po polsku burzliwe, choć pełne najlepszych intencji.

Przysłuchiwano się obradom wzrusza, rozczula, oburza, dziwi, a nieraz śmieczy. Ci społecznicy ofiarni i pełni zapału sądzą niejednokrotnie, że zba-

NOTY

CZY RZECZYWISTE DOSZŁO DO TEGO, że trzeba dodatkowo reklamować książki świetnych autorów wystawione za witrynę księgarską? A jeśli tak, trzeba to robić poważnie, niż to czyni księgarnia obok „Europy”. Pseudodowcipne napisy nad „Opowiadaniem” Faulknera: „Do kupna tej książki nie trzeba chyba namawiać” albo nad „Lottą w Weimarze” T. Manna: „Ta książka długo tutaj nie poleży” czy nad powieścią Hamsuna: „Tego w naszej księgarni jeszcze nie było” zalatują wyraźnie prowincja. Wystarczyłaby kartka z lakonicznym określeniem: „ostatnia nowość” lub też „głośna powieść klasyki literatury niemieckiej” i w ogóle coś w tym rodzaju.

ROCHANY WARSZAWSKI PRZYROSTEK — AK przeniknął i do prasy literackiej u honorowany nawet w tytule. W nrze 40 „Nowej Kultury” zamieszczono artykuł „Kryzys ogólniaka czy systemu szkolnego”. A to się ucieszy Walery Wątróbski! Zjem schaboszczaka i pójde przez Poniatoszczaka do ogólniaka...

PO PUTRAMENCIE I NIZIURSKIM — ZECHENTER nie powstydził się „kryminału”. Jego bezkrwawą „Avaxarę” (Iskry 1953) czyta się z dużym zalekawieniem i uśmiechem aprobaty dla tego dowcipnego sparodiowania powieści detektywistycznych. Nie dziwnego: napisał ją autor poważnie bardzo udanych „Parodii” literackich (Wydawnictwo Literackie 1953).

W OLSZTYNIE I SZCZECINIE INACZEJ NIZ W LUBLINIE. Pod względem grzesności. W sklepach odpowiada się klientowi na jego „dzień dobry” i „do widzenia”. Informacji udziela się chętnie i uprzejmie. Słowo „przepraszam” ma częste zastosowanie.

-kaj-

wiają świat, że wykują nowe jakieś drogi. Ścisnięci w emigracyjnym podwórku, zamiast ograniczyć się do pilnowania spraw będących w ich zasięgu, uchwalają szerokie rezolucje, pozostające potem siłą faktu martwą literą.

Ale na ogół stwierdzić trzeba, że Polacy w Argentynie mogą być przykładem patriotyzmu i polskości. Związek Polaków właśnie w tym roku będzie obchodził trzydziestolecie swego istnienia, a to szmat czasu, walki, zmagania się, ofiarności, a przede wszystkim cichej, upartej pracy.

Bo zawsze pamiętać trzeba, że życie wśród obcych nie jest właściwie życiem pełnym, ale jakby jakąś jego namiastką, jakby jego cieniem, bolesnym i trudnym. Dlatego, gdy czytacie będziecie te kilka słów, pomyślcie, proszę, o nas tutaj sercem życzliwym, bo może to Wasze ciepło złagodzi nieco nasz smutek.

Józefa Radzymińska

Buenos Aires, czerwiec 1958

odpowiedzi redakcji

P. P.

Stanisław K. (? — nieczytelne) w Sosnowcu. Wiersze i frazki bezradziejne.

Konrad Fr. w Łodzi. Najlepsze wiersz „Epitaphium”. Zatrzymujemy do ewentualnego nierychłego debiutu.

Danuta M. w Sieradzu. Stać Pania na lepsze wiersze niż słabe „Mieszkanie” i banalnie nastrojowa „Jesień”.

E. Bar. w Poraju koło Częstochowy. Gratulujemy. Radłimy dbać o większą zawziętość wierszy i na Boga unikać rozgadania. Może zadebiutuje Pani końcowym fragmentem „Wczasów”.

E. Wach. w Lesznie. Zatrzymujemy do ewentualnego zamieszczenia wiersz „Samotny”.

Eug. Zarz. w Łodzi. Najlepsze z nadesłanych wierszy: „Achillesi” i „Bociany”. Zamieścilibyśmy ten drugi, gdyby się Pan zgodził na usunięcie czterech linijek (od „Powiedz mądry starszku” do „Jak w uśmiech księżycy” włącznie).

Rom. Jab. w Warszawie. Zatrzymujemy wiersz „Omne humanum...”. Dziękujemy za miłe, choć nie pozbawione przesady słowa pod naszym adresem.

Jerzy Skoś. w Warszawie. Może zamieścić „Śledztwo”.

KSIAŻKI NADEŚLANE

Jan Wiktor: „Legendy o Grajku Bozym”. Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1958

Fr. Mauriac: „Bóg i złoty cieciec”, tłum. Jadwiga Natęcz, Instytut Wyd. Pax, Warszawa 1958

Zofia Kossak: „Z miłości”, Instytut Wyd. Pax, Warszawa 1958

Nikos Kazantzakis: „Chrystus ukrzyżowany po raz wtóry”, przełożyła Jadwiga Dackiewicz, Warszawa, Instytut Wyd. Pax Warszawa 1958.

A. Cronin: „Robbie i Robert”, tłumaczyła Krystyna Tarnowska, Instytut Wyd. Pax, Warszawa 1958

Jerzy Brzęczkowski: „Nocny gość”, Iskry, Warszawa 1958

Bohdan Korewicki: „Jej perypetie”, Iskry, Warszawa 1958

Marian Ruth Buczkowski: „Tragiczne pokolenie”, Iskry, Warszawa 1958

Moulond Feraoun: „Ziemia i krew”, tłum. Stef. Kozicki, Iskry, Warszawa 1958

Olgierd Budrewicz: „Europa egzotyczna”, Iskry, Warszawa 1958

Jerzy Sawicki: „Przed polskim prokuratorem”, Iskry, Warszawa 1958

Jack London: „Biały kiel”, tłum. A. Przedpolska-Trzeciakowska, Iskry, Warszawa 1958

Jan Nogaj: „Barwne koszulki”, Iskry, Warszawa 1958

Borys Polewoj: „Opowieść o prawdziwym człowieku”, przełożył Jerzy Wyszomirski, Iskry, Warszawa 1958

Gil Buhet: „Rycerz Piotruś”, przełożyła Maria Leńska, Iskry, Warszawa 1958

Gustaw Morcinek: „Zabłąkane piaki”, Iskry, Warszawa 1958

Erich Kaestner: „Zaginiona miniatura”, przeł. A. Dolegowska, Iskry, Warszawa 1958

R. Siłwoniak: „Sciany i dna”, Iskry, Warszawa 1958

„Pamiętniki nauczycieli weteranów”, wybrał i przygot. Mikołaj Kozakiewicz, Iskry, Warszawa 1958

Ernest Bryll: „Wigilie wariata”, Iskry, Warszawa 1958

Józef Ozga Michalski: „Kartki partyzanckie”, LSW, Warszawa 1958

K. Sejda: „CK Dezerterzy”, LSW, Warszawa 1958

Eric Bentley: „The Dramatic Event”, Horizon Press, New York 1954

Maxwell Geismar: „American Moderns”, Hill and Wang, New York 1958

W najbliższym numerze ukaza się wspomnienie Tibora Csorby „Lublin” i recenzja jego wystawy.

Rysunki w numerze:
TERESA TARGOŃSKA

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Numer 2 (październikowy) „Kamena” zawierał wiersze Światopelka Karpińskiego, Wita Kasperskiego, Antoniego Madeja, Józefa Łobodowskiego, prozę K. A. Jaworskiego, przekłady Jalu Kurka futurystycznej poezji włoskiej (Buzzi i Pelazzeschi), tłumaczenia K. A. Jaworskiego z literatury ukraińskiej (Chwyłowy), Tyczyńska, Mulańnik i Józefa Czechowicza (O. Olczyk), noty, kronikę słowiańską i rubrykę Pro urbe sua. Numer zdobyła wkładka linorytowa Zenona Wańkiewskiego „Dzwonnica kościoła Poreformackiego w Chełmie”.